

**BEZ
DEKRETU**

NR 5 KRAKÓW

BEZ DEKRETU

*Pismo członków i sympatyków
„SOLIDARNOŚCI”*

NR 5

Kraków — Marzec 1985

Spis treści:

1. Hubert Wroński - Wielki proces czy wielkie oszustwo? . . .	3
2. Pozostałem sobie wierny - rozmowa z profesorem Edwardem Lipińskim	11
3. Tomasz Gluziński - Wiersze	22
4. Dokumenty bezprawia	24
5. Andrzej Fuliński - W obronie ustawy	29
6. Jawność - rozmowa z Anką Kowalską	34
7. Leszek Szaruga - Między szaleństwem a śmiercią	39
8. Moje credo pisarskie? Prawda. - Rozmowa z Józefem Mackiewiczem	45
9. Filonus Piastowski - Nie takie smutne, choć prawdziwe . . .	48
10. Jan Kappa - Przewodnik po królestwie propagandy	50
11. Władimir Wojnowicz - Najsurowszym cenzorem - strach . . .	60
12. Ignacy Bęben - Razem czy osobno, czyli francuscy komuniści na rozdrożu	63
13. Tumany i fetysze. Akcja - strajk	68

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

© Copyright by BEZ DEKRETU

PODZIĘKOWANIA: Konfederacji pro"S" dziękujemy za 500

Wielki proces czy wielkie oszustwo ?

Na całościową ocenę społecznych i politycznych skutków procesu o morderstwo śp. ks. J. Popiełuszki jest jeszcze za wcześnie. Nie jest jasne, jakie treści przeniknęły do świadomości społeczeństwa, jakie dominujące przekonania ukształtowały się w wyniku transmitowanych najrozmaitszymi kanałami informacji, nie wiadomo, jakie wnioski wysnuł ludzie sprawujący w Polsce władzę. To wszystko wyjaśni się zapewne dopiero po pewnym czasie, nie wykluczone, że przy okazji mniej lub bardziej dramatycznych wydarzeń. Okoliczności i niektóre aspekty tego procesu zasługują jednak na to, aby poświęcić im chwilę refleksji już dziś.

I

Procesy zyskujące szeroki oddźwięk w danym kraju albo i w świecie nazywa się "wielkimi". Warto jednak odróżnić dwa typy procesów wzbudzających powszechnie zainteresowanie i - przy przyjęciu tego miernika - nazywanych wielkimi. Pierwszy z nich występuje wówczas, gdy proces jest niejako "dalszym ciągiem" wydarzeń, które odbiły się szerokim echem albo wręcz wstrząsnęły społeczeństwem. O "wielkości" procesu decyduje wtedy właściwie nie to, co się na nim dzieje, lecz samo wydarzenie, które dało mu początek. Typowym przykładem służą tu procesy o zabójstwo wybitnych osobistości. Problem rozstrzygany wówczas w procesie jest w istocie banalny - sprawy karne o zabójstwo liczą się na setki w skali roku - a jedynie jego okoliczności wywołują sensację.

Procesy "wielkie" drugiego typu przykuwają uwagę społeczeństwa wagą problemów społecznych lub politycznych rozstrzyganych w ich toku lub "obecnych" na sali sądowej mimo udawania, że ich nie ma. Procesy takie łączą się najczęściej z wykorzystaniem albo nadużyciem prawa karnego do celów politycznych /np. proces Dreyfusa, proces brzeski/, choć powstają one czasami na innym tle /np. tzw. "małpi proces" w USA, gdzie szło o wprowadzenie do szkół teorii Darwina/. Oczywiście, wskazane typy procesów nie zawsze występują w postaci "czystej"; raczej wyznaczają one krańce kontinuum, na którym leżą procesy bliższe jednemu z tych biegunów, lecz wykazujące również pewne cechy drugiego. Należy sądzić, że im więcej cech należących do drugiego z wymienionych typów, tym większe społeczne znaczenie procesu. Jeśli zainteresowanie wzbudza przede wszystkim problem społeczny ujawniający się w toku procesu, a nie jego warstwa sensacyjna, oznacza to, że problem ten jest żywoty dla społeczeństwa, a zapadłe w nim decyzje mogą mieć daleko sięgające konsekwencje. Sensacje natomiast szybko wzbuchają i szybko gasną - są przysłowiowym słomianym ogniem dającym wiele blasku, ale niewiele pożytku.

Odnosząc te uwagi do procesu o zabójstwo ks. J. Popiełuszki można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z procesem powstałym na tle niecodziennego wydarzenia, ale nie z procesem niezwykłym. Mord zmierzający do usunięcia człowieka odgrywającego wybitną rolę w życiu społecznym lub politycznym jest współcześnie oznaką braku innych argumentów po stronie jego przeciwników i zarazem częstą zapowiedzią ich klęski. Zabójstwo pastora Kinga przyspieszyło proces równouprawnienia Murzynów w USA, śmierć Aldo Moro przyczyniła się do szybkiego rozgromienia Czerwonych Brygad. Mord polityczny, zjawisko znaczące krwawą ślad w dziejach ludzkości, był niegdyś wcale często stosowaną metodą dochodzenia do władzy albo jej utrzymania. Dziś jest oznaką politycznego bankructwa. Samo wydarzenie może mieć zatem niebagatel-

ne znaczenie, następujący po nim proces jest natomiast rutynowym działaniem wymiaru sprawiedliwości i - aczkolwiek budzi wielkie zainteresowanie - nie wnosi nic albo bardzo niewiele nowego. Czy może być bowiem w normalnie funkcjonującym społeczeństwie coś bardziej zrozumiałego niż to, że zbrodnia pociąga za sobą karę? Elementarne zasady sprawiedliwości nie zawierają treści, które dziś mogłyby zostać uznane za niezwykłe.

Śmierć ks. J. Popiełuszki jest bez wątpienia zdarzeniem doniosłym, proces jego morderców powinien być normalnym tej śmierci następstwem, wydarzeniem interesującym, ale w żadnym razie niezwykłym. Pisząc "powinien być" nie twierdzę, że takim był w rzeczywistości. Wręcz przeciwnie, postaram się wykazać, że był on w wielu aspektach zjawiskiem odbiegającym od normy i skłaniającym do refleksji.

II

Podkreślano przy wielu okazjach, że po raz pierwszy w krajach komunistycznych na ławie oskarżonych zasiedli funkcjonariusze służby bezpieczeństwa /pomiędzy oficjalne nazwy/, by odpowiedzieć za czyny związane z ich działalnością służbową. Podobne stwierdzenia przewinęły się nawet przez oficjalne środki masowego przekazu w Polsce, operując oczywiście określeniem "w państwach socjalistycznych". Pisano w związku z tym o procesie "precedensowym". Jeśli zastanowić się nad tymi stwierdzeniami, to okazują się one: po pierwsze - przerażające, po drugie - nieprawdziwe.

Przerażające, ponieważ przechodzi się do porządku dziennego nad czterdziestoletnim ciągiem zabójstw i pobić dokonanych przez UB i jego następców, nie stawia się pytań, co robiły tzw. "organy ścigania" w sprawach, gdzie nie nitki, lecz "liny" prowadziły do "instytucji specjalnych" służących komunistycznej władzy, traktuje się posadzenie morderców na ławie oskarżonych, czyli wydarzenie w cywilizowanym świecie normalne, jako ewenement. Bezmiar patologii aparatu władzy, ujawniający się w świetle tych stwierdzeń, nie znajduje żadnej przeciwwagi w pociągnięciu do odpowiedzialności kilku opryszków za jeden czyn z bardzo długiej ich listy.

Stwierdzenia te są również nieprawdziwe. Procesy funkcjonariuszy z pionu spraw wewnętrznych o przestępstwa związane z ich służbą odbywały się w Polsce /w ZSRR również/ wielokrotnie, choć nie miały wymiaru procesu politycznego. Tylko pozornie odległe od procesu toruńskiego są takie procesy jak krakowski o zastrzelenie chłopca uciekającego z kilkoma kostkami nielegalnie uzyskanego masła, czy katowicki o zakątwienie młodego robotnika, zabranego na komendę z powodu braku pokory wobec lustrujących hotel milicjantów. Oczywiście, różnic między tymi procesami a procesem toruńskim można znaleźć wiele, ale wszystkie łączą jedną wspólną cechą: sprawcy przestępstw popełniali je nie kierowani odpowiednim rozkazem, ich działanie nie legitymowało się lojalnością wobec przełożonych, lecz było splamione samowolą. Funkcjonariusze powołani do utrzymania "porządku wewnętrznego" w krajach komunistycznych są narzędziem władzy, a nie jest rzeczą narzędzia wykazywać własną inicjatywę - ma być milczące i posłuszne; jeśli drga w ręce, staje się złomem. Procesy pracowników służb "stojących na straży porządku publicznego" nie są dyktowane troską o praworządne działanie tych organów, gdyż zbyt wiele przestępstw uchodzi im płazem. Procesy te służą ich dyscyplinowaniu, przypomnianiu im o ich roli i o granicach, których nie wolno im przekroczyć. Jeśli nie wychodzą poza nie, ludzie ci mogą być pewni bezkarności. Czy tak trudno udzielić odpowiedzi na pytanie, dlaczego ten sam rząd i ten sam pion nie umiał w żaden sposób wykryć sprawców prowokacji bydgoskiej w r. 1981, a z taką łatwością wykrył sprawców prowokacji w r. 1984? W sprawie o spowodowanie śmierci G. Przemyska przez kilka miesięcy działała specjalna ekipa, wybierająca w murze dowodów furtkę na

wolność dla zabójców w mundurach, wylano z Prokuratury Generalnej zasłużonego dla reżimu prokuratora, który ośmielił się skierować do sądu akt oskarżenia przeciw milicjantom, nie czekając aż sprawa "dojrzeje". A działo się to pod rządami tej samej ekipy, która w związku z procesem toruńskim przybiera katońskie pozy.

Upatrywanie w procesie Piotrowskiego et consortes triumfu wymiaru sprawiedliwości jest wręcz nieporozumieniem. Gdyby tak było, byłibyśmy świadkami podobnych procesów w każdym więkzym mieście w Polsce. Nie wychodząc poza lata osiemdziesiąte trzeba ich wszczać kilkadziesiąt. Sprawa Bartoszcze jest najgłośniejsza, ale znajdowano po całej Polsce zwłoki ginących w "tajemniczych" okolicznościach działaczy z opozycji politycznej. Budowanie na procesie toruńskim nadziei, że odtąd bezprawie zostanie ukrócone, jest pozabawione podstaw. Tak jak dotąd przestępstwa na rozkaz i "po linii" będą uchodziły płazem, odpowiadać te służby będą za samowolę. Trudno dostrzec tu jakikolwiek precedens zapowiadający zmianę tej sytuacji.

Wszystko to jednak sprawia, że proces o zabójstwo ks. J. Popiełuszki można uznać za niezwykły. To, co powinno być zgodną z prawem konsekwencją zbrodni usiłuje się ukazać jako coś niespotykanego. To jakrawe pomieszenie pojęć stanowi specyfiką komunistycznego wymiaru sprawiedliwości. Niezwykłym - w kategoriach normalnego społeczeństwa - jest to, że tyjące różnych przestępstw aparatu władzy uchodzi bezkarnie, a nie to, że niektóre znajdują finał przed sądem. W warunkach patologicznych zjawiska choć trochę zbliżone do normalnych zaczynają nabierać wymiaru niezwykłości.

III

Każdy proces, zwłaszcza karny, ma w sobie coś z teatru. Zazwyczaj jest to "teatr na żywo", którego jedynym reżyserem są przepisy prawa, a sztukę pisze "samo życie". Zdarzają się wszelako wyjątki od tej reguły, procesy reżyserowane przez osoby pozostające za kulisami przy wykorzystaniu przepisów prawa dla osiągnięcia celów całkowiec z nimi sprzecznych. Komuniści doszli w tym procederze do perfekcji: nawet oskarżeni odgrywają posłusznie swoje role, opisując nieistniejące zbrodnie i przyznając się do niepopelnionych czynów. Wspomnijmy tytułem przykładu o procesach z okresu "wielkiej czystki" w ZSRR, czy o procesach z wczesnych lat pięćdziesiątych w Polsce. Ręka reżysera była widoczna również w procesie o zabójstwo ks. J. Popiełuszki, choć nie chodziło w nim o skazanie ludzi niewinnych. Tym razem szło o coś zupełnie innego.

Zacznijmy od zewnętrznego sztafażu. Krążący nad sądem śmi-głowiec, uzbrojeni w Smith-Wessony komandosi z jednostek specjalnych oraz tym podobne atrybuty zmierzały do wywołania wrażenia, że trzeba się liczyć z atakiem /być może odwetowym?/ jakiejś grupy terrorystycznej. Teza o zagrożeniu przez terroryzm w Polsce jest ukochanym dzieckiem komunistycznej propagandy i nie pominięto okazji, by to podkreślić. Jak dotąd, wszystkie znane akty terroru są dziełem służb z nazwy przeznaczonych do zwalczania tego zjawiska. Ale czemu nie spróbować - a nuż ktoś się nabierze na przeobrażenie gmachu sądu w oblężoną twierdzę? Nie wiem, jak odbierali ten "wystrój" inni ludzie, ale na mnie sprawiał on wrażenie ponurej groteski, a zarazem zapowiedzi, że jej dalszy ciąg nastąpi na sali rozpraw. Bez satysfakcji wyznają, że to wrażenie mnie nie zawiodło.

Znamienne jest, że cała propagandowa machina trąbiła monotennie i uparcie o wykryciu całej prawdy i ujawnieniu jej w procesie. Oskarżeni nie spiskowali z innymi osobami, a Piotrowski i Pietruszka, powodowani nienawiścią do przeciwników politycznych i wstrząśnięci niemocą prawa, omamili pozostałych sprawców twierdząc, że stoją za nimi potężni i chroniący ich mocodawcy - tak oto przedstawia się wersja

oficjalna okoliczności i motywów wyboru ofiary oraz dokonania zabójstwa. Jeśli ktoś chce, niech w nią wierzy, ja wkładam ją między bajki z następujących powodów.

W wielu przypadkach funkcjonariusze MSW, występujący jako świadkowie, wnikali się w zeznaniach. Sedno sprawy nie leży w tym, że znawali niechętnie i z oporami - to wyjaśnić można swoją "solidarnością zawodową" z oskarżonymi. Nie do wyjaśnienia w ten sposób jest natomiast uchylanie przez przewodniczącego składu sędziowskiego pytań oskarżycieli posiłkowych, zarządzanie przerwy albo niemal odpowiadanie za świadków zawsze wtedy, gdy ich zeznania zaczynały obracać się wokół nacisków wywieranych na oskarżonych, ich powiązań służbowych i tym podobnych kwestii mogących postawić pod znakiem zapytania "wersję oficjalną". Widoczny też był brak dążenia do wyjaśnienia sprzeczności w zeznaniach tych świadków, jeśli dotyczyły one tych "delikatnych" kwestii. Takie zabiegi jednoznacznie wykazywały na istnienie "tematów tabu" w tym procesie. A jeśli ktoś uchyla się od wyświetlenia prawdy, to chce tę prawdę ukryć - jest to wniosek tak oczywisty, że aż banalny.

Przy przyjęciu wersji oficjalnej nie do wytłumaczenia, jest też zostawienie przez oskarżonych śladów wskazujących na dokonanie zbrodni przez aparat MSW. Podrzucony na szosie orzełek jest koroną wśród tych poszlak, choć było ich dużo więcej. Bełkot o "konspiracji w konspiracji", tj. lansowanie twierdzenia, że oskarżeni w ten sposób chcieli wywołać wrażenie prowokacji ze strony podziemia, co miało odwrócić uwagę od nich, jest po prostu kompromitujący. Przecież w ten sposób zwracali uwagę na siebie, co - jak każdy przyzna - nie jest dobrą metodą kierowania ewentualnego śledztwa w inną stronę. Karkołomne wyjaśnienie wyraźnie prowokacyjnych działań oskarżonych, którzy nie przejęli się nawet ucieczką Chrostowskiego, wykluczającą utrzymanie w tajemnicy tego, że przestępcami byli funkcjonariusze MSW, są żenujące. Wszystkie te okoliczności jednoznacznie wskazują na brak zamiaru ukrycia roli, jaką odegrała w morderstwie służba bezpieczeństwa, ba, nawet na zainteresowanie w ujawnieniu tego faktu. Słowa Piotrowskiego po ucieczce Chrostowskiego: "To może nawet lepiej, że wyskoczył", w tym kontekście nie sposób interpretować - jak próbowano to robić - jako wyrazu nadziei, że świadek ten skrzyżł sobie kark. To dowód intencji wydobycia udziału bezpieki w przestępstwie, a zarazem niezłomnego przekonania o własnej bezkarności. I tu napotykamy na kolejną sprzeczność w wersji oficjalnej - jeśli Pękala i Chmielewski byli wprowadzeni w błąd przez Piotrowskiego i Pietruszkę, to ci ostatni nie mogli mieć złudzeń co do swego losu, jeśli działając tak jawnie nie mieli osłony ze strony nieistniejących mocodawców. Jak z tym pogodzić przekonanie o bezkarności mimo pozostawiania za sobą śladów wprost rzucających się w oczy? Czy można wyjaśniać to wiarą, że będą ich kryć koledzy albo ślepy fanatyzm nie liczącym się ze skutkami? Bzdura. Oskarżeni musieli wiedzieć, że "krycie" jest możliwe tylko do pewnych granic, które w tym przypadku dawno byłyby przekroczone. Natomiast twierdzenie, że Piotrowski rejestrując na lewo zagraniczne samochody i pobierający łapówki za "załatwianie" paszportów, jest zaślepieniem nienawiścią fanatykiem gotowym poświęcić tak "wypracowane" dobra oraz narazić swe życie w imię jakiegokolwiek idei, brzmi jak ponury żart. Piotrowskiego można posądzać o wszystko, ale nie o fanatyzm. "Lewe" interesy dowodzą braku skrupułów a nie fanatyczno-ideowego zaślepienia.

W tej sytuacji logiczne i zgodne ze znanymi faktami jest tylko jedno wyjaśnienie: morderstwo ks. Popiełuszki było świadomą prowokacją, zmierzającą do wywołania zamieszania i wyciągnięcia z niego korzyści przez mocodawców oskarżonych. Nie wiadomo kim są ci ludzie, lecz dla oceny procesu tońskiego jest to obojętne. Proces, w którym nie dąży się do wydobycia całej prawdy, lecz do choćby częściowe-

go jej ukrycia, zmienia się z działania zmierzającego do wymierzenia sprawiedliwości w reżyserowany spektakl.

Proces był też znakomitym przykładem tego, jak można spożytkować z korzyścią dla siebie własne odpady. Obecny na sali chwilami trudno było się zorientować, kto jest w tym procesie oskarżonym: czterej mordercy czy ich ofiara wraz z polskim Kościołem katolickim? Fragmenty wyjaśnień Piotrowskiego, szkalującą ks. Popiełuszkę i pomawiające księży o liczne przestępstwa, próbowano tłumaczyć dążeniem do wyjaśnienia motywów zbrodni, lecz nie sposób tego wyjaśnienia zastosować do działania prezesa Kujawy i prokuratora Pietrasińskiego. Ci zaś wnieśli poważny wkład w tworzeniu atmosfery nagonki na Kościół, czego przykładami są odczytywanie antykościelnych dokumentów niedopuszczonych w skład materiału dowodowego oraz bezprecedensowa replika prokuratora wobec wyjaśnień pełnomocników oskarżycieli posiłkowych, poświęcona głównie atakowaniu polskiego kleru. Nota bene, objaśnianie wystąpienia Piotrowskiego chęcią dotarcia do źródeł zbrodni pęka w szwach. Co ma wspólnego z mordercą na ks. Popiełuszkę pomawianie ks. biskupa Tokarczuka o współpracę z gestapo czy też eksponowanie sprzecznej z interesami Polski działalnością niektórych przedstawicieli kleru w XIX wieku? Twierdzenie, że wyjaśnienia to nienawiść Piotrowskiego do Kościoła, jest nie do przyjęcia. Jeśli Piotrowski tak dobrze znał te szczegóły, to musiał też wiedzieć o ofierze potu i krwi wielotyśięczonej rzeszy księży w służbie naszego Narodu. Czy wobec tego pojedyncze przypadki mogły wzbudzić jego nienawiść, jeśli wiedział o tysiącach księży zasługujących na najwyższy szacunek? A jeśli nawet Piotrowski dał się ponieść niewytłumaczalnemu zaślepieniu, to czy nie było obowiązkiem prokuratora ukazać, jak bezpodstawne były te uczucia, nie zaś nie tylko przemilczeć tę kwestię, ale dolewać oliwy do ognia dorzucając do argumentacji Piotrowskiego własne trzy grosze?

Przerwijmy tę listę pytań. Wyjaśnienie tych wszystkich pozornych niekonsekwencji jest tylko jedno: mieliśmy do czynienia z dość starannie rozpisany na głosy zmasowanym atakiem na Kościół katolicki w Polsce. Ten atak, podejmowany przy okazji badania okoliczności beatalskiego mordu na kąpielanie i obejmujący ofiarę zbrodni, był wyjątkowo ohydny rysem toruńskiego przedstawienia.

IV

Ostatnio opublikowano wyniki badań OBOP, według których 75% badanych uznawało informacje z procesu podawane przez polskie środki masowego przekazu za rzetelne, 25% było przeciwnego zdania. Wyników tych nie można oceniać nie wiedząc nic o sposobie przeprowadzenia badań, sformułowaniu pytań, doborze próby itd., gdyż wszystkie te okoliczności mają znaczenie dla poprawności sondażu, a tym samym dla miarodajności podanych liczb. Być może nie są one warte funta kłaków, ale nie można też wykluczyć, że dowodzą pewnego sukcesu komunistycznej propagandy. Obserwując bowiem rozprawę na żywo i zapoznając się ze sprawozdaniem w radiu i TV miało się wrażenie, że chodzi o dwa różne procesy. Sprawozdania radiowe i telewizyjne zostały całkowicie "oczyszczone" z akcentów, które mogłyby zakłócić propagandowy wydźwięk tego wydarzenia. Nie było w nich mowy o odrzuconych wnioskach dowodowych pełnomocników oskarżycieli posiłkowych, które zmierzały do wyjaśnienia okoliczności budzących wątpliwości, o niedopuszczeniu do procesu dodatkowych biegłych z zakresu medycyny sądowej, o co również wnosili pełnomocnicy oskarżycieli posiłkowych. Wycinano z wystąpienia stron procesowych wszystkie fragmenty, które godziły w omówioną poprzednio "wersję oficjalną", albo w których odpierno niewybredne niekiedy ataki na Kościół katolicki i polskie duchowieństwo. W sprawozdaniach tych nie znalazł dostatecznego odbicia fakt, że przesłuchanie oskarżonych i świadków prowadził głównie sędzia Macie-

jewski, a nie - jak to być powinno - przewodniczący składu sędziowskiego prezes Kujawa, rażący nieznaną procedurą i brakiem obyczajności z salą sądową. To właśnie prezes Kujawa zdecydował, że skoro oskarżony nie chce odpowiadać na pytania pełnomocników oskarżycieli posiłkowych, to nie będzie odpowiadać na pytania innych uczestników procesu, co było decyzją rażąco sprzeczną z przepisami kodeksu postępowania karnego, to on odmawiał wpisywania do protokołu pytań pełnomocników, które zostały przez niego uchylone, to on wreszcie był autorem brzmiącego jak anegdota powiedzenia, że adwokat powołujący się na przepisy prawne przeskadza w prowadzeniu procesu. W PRL prezesi sądów z rzadka zasiadają za stołem sędziowskim, ich zadanie to pilnować, aby sędziowie nie odstawali za nadto od nakazanej "linii politycznej", więc po co im znajomość prawa. Na sali sądowej w Toruniu to wszystko było widoczne, w sprawozdaniach z niej - oczywiście nie.

Podobne uwagi wyzwała lektura sprawozdań prasowych. Zauważalne w nich jest działanie cenzury, a także autocenzury, choć w niektórych można znaleźć informacje wskazujące na to, że "wersja oficjalna" to zwykły humbug. Do ilu jednak ludzi takie sprawozdania docierały i ilu z nich chciało w nich szukać takich informacji, które przecież nie mogły być podawane otwarcie - o' czego cenzura ma swoją gilotynę?

Wykrzywienie sprawozdawczości prasowej spowodowało, że nie tylko nie oddawała ona przebiegu postępowania, ale utrudniała albo uniemożliwiała ocenę jego uczestników. O prezesie Kujawie /wzdragam się nazwać go sędzią/ wspominałem wyżej, parę słów komentarza wypada poświęcić innym postaciom. Przemówienia prokuratora TV i radio transmitowały niemal w całości, ale podkreślić trzeba ich tenor - ludzie obznajomieni z postępowaniem karnym odnotowali je jako ewenement. Nie zdarza się bowiem, aby oskarżyciel występował w roli obrońcy oskarżonych, by obszerne fragmenty jego wystąpień były poświęcone dodatkowemu uzasadnieniu ich twierdzeń. Liczne ataki na Kościół, mające uzasadnić "szuszne" oburzenie Piotrowskiego i jego kompanów, służyły właśnie temu celowi. Szczytem tych wystąpień była wspomniana replika, której lepsze przygotowanie umożliwiło bardzo "na czasie" zasłabnięcie adw. Marczak, obrońcy oskarżonego Pietruszki.

O ile wystąpienia prokuratora zajmowały sporo czasu na antenie, o tyle wystąpienia pełnomocników oskarżycieli posiłkowych "skracano" poniżej minimum przyzwoitości. Cięcia montażowe można było namacać - w pośpiechu nie zdołano wszystkiego jak należy "wyczyścić". Interesujące jest, że nawet w sprawozdaniach prasowych wycinano z tych wystąpień wszelkie "niewygodne" fragmenty. Stąd nic dziwnego, że wysiłek pełnomocników oskarżycieli posiłkowych nie znalazł właściwego odbicia w sprawozdaniach z procesu, a ich rola rysowała się w nich błado i nieciekawie.

Nie sposób zająć się tu wszystkimi aktorami toruńskiego procesu, ale trochę uwagi poświęcić trzeba oskarżonemu Piotrowskiemu. Urósł on bowiem do rangi postaci nr 1, a niektóre opinie krążące o nim w czasie procesu /"przystojny", "mówi z żelazną logiką", "bezwzględny, ale tym imponuje"/ zaskakiwały płytkością oraz naiwnością. Ciekawe, ilu ludzi śledzących proces zauważyło, jak dalece Piotrowski zmienił się w czasie rozprawy. Piotrowski w tym czasie "urósł", czy może "wprostował się" - w jego wyjaśnieniach składanych po odczytaniu aktu oskarżenia widoczne były chwile niepewności, momentami drżenie głosu, "ostatnie słowo" to popis buty i bezwzględnej pewności siebie. Wyjaśnienie tego niecodziennego zjawiska /na ogół oskarżony, któremu udowodniono bestialskie morderstwo jest niespokojny właśnie przed wyrokiem/ wydaje się proste: mniej więcej już od połowy rozprawy Piotrowski wiedział, że uratował głowę, że kary śmierci nie będzie, a więc mógł bez znerwicowania odgrywać rolę fanatyka nie godzącego się z przynajmniej przedstawicieli Kościoła katolickiego. Na salę sądową coraz wyraźniej wkraczał nowy "oskarżony", oskarżony nie w sensie for-

malno-prawnym, lecz faktycznym - ofiara zbrodni, ks. Jerzy Popiełuszko. Znalazło to wyraz w powtarzającym przez wielu ludzi z gorzką ironią przekręceniu nazwy procesu: "proces ks. Popiełuszki", tak jakby to on zasiadał na ławie oskarżonych.

Spokojna analiza wielu oświadczeń Piotrowskiego pozwala dostrzec w nich nie tyle konsekwencję i logikę wyводу, co bezczelność i sofistyczne przemieszczenie akcentów. Omówienie wszystkich tych wypowiedzi jest niemożliwe, dla przykładu rozpatrzmy jedną z nich, szeroko kolportowaną przez środki masowego przekazu: "Chciałbym mieć świadomość, że już nigdy w Polsce nie będzie Zychów i Piotrowskich, Karosów i Popiełuszków". Przypomnijmy: aierżant MO Karos, zastrzelony w 1982 roku, według wersji oficjalnej, przy rozbrajaniu, przez 19-letniego sprawcę, z broni przechowywanej przez pewien czas przez ks. Zycha, nie wiedzącego wówczas, do czego broń ta zostanie użyta. Nieprawdopodobne, by Piotrowski przez pomyłkę zestawiał siebie /mordercę/ z ks. Zychem /nielegalne posiadanie broni/. Choć oba przestępstwa dzieły przapaść, chodziło o stworzenie wrażenia, że wśród księży spotyka się również morderców, gdyż tylko wówczas cała figura retoryczna ma sens: ksiądz-ofiara morderstwa i milicjant-morderca znajduje przeciwwagę w milicjancie-offierze i księdzu-mordercy. To, że jest ona sprzeczną z faktami, Piotrowskiemu nie przeszkadza, nie przeszkadza to też sprawozdawcom powstrzymującym się od skomentowania tego ewidentnego fałszerstwa. Piotrowski i propagandowe tuby działają tu ręką w rękę sugerując, że księża występują również w roli morderców a nie tylko ofiar. Fakt, że okoliczności i sposób zadania śmierci różnią się w obu wypadkach diametralnie jest dla Piotrowskiego również bez znaczenia. Bezczelność i liczenie na krótką pamięć - oto najkrótszy komentarz do tej, pozornie tak wzniosłej, wypowiedzi. Podobnie ocenić trzeba i inne jego oświadczenia. I jeszcze jedno - w końcowym przemówieniu Piotrowski operował szczegółami z historii Kościoła, których przytoczenie z pamięci nie jest łatwe nawet dla historyka zajmującego się tą problematyką. Musiał więc dysponować materiałami pozwalającymi mu opracować swoje wystąpienie. Pytanie, czy sam ich zażądał, czy mu je "uprzejmie" podsunęto, nie jest najważniejsze. Istotniejsze jest to, że wiedział co z nich wybrać, aby jego słowa "współbrzmiały" z wystąpieniami prokuratora oraz działalnością preza Kujawy. A ta "współpraca" mordercy, oskarżyciela publicznego i przewodniczącego składu sądującego w oplukwianiu ofiary zbrodni i Kościoła katolickiego jest najbardziej odrażającym akcentem toruńskiego procesu. Nie wiem, ilu ludzi w Polsce dało się na nią nabrać.

V

Na koniec parę słów o orzeczonych karach. Jako przeciwnik kary śmierci byłbym skłonny uznać je za prawidłowe, choć wielu ludzi uważa karę 25 lat więzienia dla Piotrowskiego za niewystarczającą. Wymaga ona jednak pewnego komentarza.

W Polsce orzeka się co roku kilka do kilkunastu kar śmierci /np. 1978 - 15, 1980 - 8, 1982 - 3, 1984 - 14/. Karę śmierci orzeczono - i podobno wykonano - wobec zabójcy sierżanta Karosa, choć zabójcą był 19-letni chłopak, a więc ktoś, kogo znacznie łatwiej resocjalizować niż dojrzałego, liczącego 34 lata, mężczyznę. Stąd też po prostu niepoważnie brzmi uzasadnienie przedstawione przez prezesa Kujawę, iż Piotrowski na karę śmierci nie zasłużył, bo nie jest "niepoprawny". Wśród prawników panuje niemal jednogłośna opinia, że jeśli nie wymierzono kary śmierci w procesie toruńskim, to - racjonalnie rzecz biorąc - trudno będzie znaleźć przypadek, w którym orzeczenie takiej kary ocenić by należało jako uzasadnione. Przed ogłoszeniem wyroku wielu spodziewało się, że sąd pierwszej instancji orzeknie najwyższy wymiar kary wobec Piotrowskiego, a sąd II instancji złagodzi karę do

25 lat pozbawienia wolności. Argumentowano, że tym sposobem sąd da wyraz najwyższego potępienia dla działalności zbrodniarzy /nie tylko Piotrowskiego!/, a zmiana tej oceny będzie swego rodzaju aktem łaski. Żądania zgłoszone przez prokuratora wydawały się potwierdzać te przypuszczenia. Nie brano jednak pod uwagę bardzo istotnej okoliczności: stanowiska aparatu służby bezpieczeństwa. Tym ludziom nikt w tej sprawie oczu nie przesłoni, oni wiedzą zbyt wiele, by udało im się wmówić, że oskarżeni tworzyli polską "bandę czworga". Ci ludzie wiedzą, że oskarżeni działali na rozkaz, tak jak wielu innych ich kolegów cieszących się po dziś dzień wolnością i przywilejami. Opinia w tym pionie na temat procesu była jednoznaczna: to teatr, ponura komedia i nic więcej. Dodajmy, że milicjanci i esbecy bardzo nie lubią, gdy sędzi się ich kolegów, nawet jeśli chodzi o przestępstwa pospolite, o zwykłe "kryminałki". Zbyt wielu z nich ma zbyt wiele na sumieniu, by takie procesy nie wywoływały w nich niemiłych skojarzeń. To, że w przypadku zamordowania ks. Popiełuszki doszło do złamania "zaseady lojalności" wobec wierchuszki wyjaśnia, dlaczego posadzenie bezpośrednich sprawców na ławie oskarżonych, z Pietruszką na okrasę, doszło do skutku. Ale przeciętny funkcjonariusz może nie wiedzieć, czy rozkazodawca jest "uprawniony", czy też działa "bezprawnie"; czy do wydania rozkazu dochodzi wskutek "przykazania z góry", czy w wyniku jakiejś "schizmy" w zatrudniającej go "firmie". Z tego względu proces toruński miał być "poważnym upomnieniem", lecz zapadły w nim wyrok nie mógł stwarzać całkowicie ponurych perspektyw: gwarantuje, że w każdej opresji wyniesie się przynajmniej głowę na karku, musi być całkowita. Polska to mimo wszystko nie Związek Radziecki, gdzie zmienieć mundur śledczego na łągierne szmaty albo i krawat od munduru na konopny postronek nie jest trudno. Orzeczenie w Toruniu kary śmierci mogłoby wywołać zbyt wielkie rozgoryczenie w "resorcie", mogłoby podsunąć za dużo tematów do rozmyślań, posiać poważne wątpliwości. KS w procesie toruńskim był z tego względu wykluczony, to było jasne niemal od początku. Żądanie prokuratora, uzasadnienie sądu, to nic innego jak dymne zasłony; przesłaniające tzw. "nagą prawdę". Jeśli "resort MSW" jest jednym z głównych filarów, na którym wspiera się każda kolejna ekipa w Polsce, to nie można wstrząsnąć nim zbyt mocno: mogłoby dojść do powstania rysów i pęknięć, a wtedy... Można twierdzić, że komuniści to oszuści, ale nie że idioci.

*

Nie zamierzam stawiać kropki nad "i" odpowiadając na postawione w tytule pytanie. Odpowie sobie na nie sam Czytelnik. Od siebie mogę dodać, że proces o zsbójstwo ks. J. Popiełuszki przejdzie do annałów polskiego sądownictwa jako proces niezwykły. Z wielu powodów.

HUBERT WRONSKI

POZOSTAŁEM SOBIE WIERNY

Rozmowa z profesorem Edwardem Lipińskim

- W 1914 drukował pan tekat w piśmie pt. "Kuznica" wychodzącym w Wilnie, pod pseudonimem Nowomiejski. To poniekąd spowodowało, iż przez jakiś czas sądziłam, że pochodzi pan z wileńszczyzny.

- Nie, absolutnie. Urodziłem się na Mazowszu w Nowym Mieście nad Pilicą. W Wilnie nie byłem nigdy. Tylko to pismo wychodziło w Wilnie, bo tam rzekomo była łżejsza cenzura. Prowadził je Tadeusz Rechniewski, który mieszkał w Warszawie. Rechniewski to była wspaniała postać - przywódca PPS-Lewicy w swoim czasie. Darzył mnie przyjaźnią. Dzisiaj jest zupełnie nieznany. Początkowo jego pismo wychodziło w Warszawie. Potem miał kłopoty z cenzurą i przeniósł je do Wilna i stał fragmentem mojego wileńskiego życiorysu.

- Podobne wędrowki z drukowaniem pism opisuje Aleksander Wat w "Moim wieku".

- Takie były praktyki okresu międzywojennego, a i wcześniej jak dowodzi przykład "Kuznicy". A ja - jak mówiłem - urodziłem się na Mazowszu, nad Pilicą w najpiękniejszym miasteczku świata. Pilica zaś jest dla mnie najpiękniejszą rzeką świata, jaka w ogóle istnieje.

- Czy jeździ pan tam teraz?

- Raz w roku jeżdżę. Dom, w którym się urodziłem i mieszkalem został. Teraz znajduje się w nim męski Zakon Sług Marii. Z rodziny już nikt tam nie pozostał. Nie mam też żadnych znajomych. Nikogo. Wszyscy wymarli, dlatego że ja zbyt długo żyję... Mój dom od Pilicy dzieliło 300 metrów. Tak więc z Pilicą jestem związany niesłychanie. Od wczesnej wiosny do jesieni pół dnia spędzałem w Pilicy. W zimie natomiast był tam raj innego rodzaju. Wzdłuż Pilicy biegły błonia, kilkanaście hektarów błoni. Te błonia zawsze zalewała woda i robiło się kilkanaście hektarów śluzgawki. Pani sobie wyobraża? Rano wychodziłem na śluzgawkę i wracałem wieczorem.

- Czyżby pan nie chadzał 'do azkoły?

- Tak było wtedy kiedy nie było lekcji. Do azkoły powszechnej też chodziłem w Nowym Mieście. Pamiętam z tej szkoły tylko jedno zdarzenie. Kiedy przyprowadzono mnie po raz pierwszy miałem sześć lat. Rozzjrziałem się po klasie pełnej uczniów i rozplakałem się. To jedno jedyne wspomnienie pozostało mi ze szkoły. Prócz tego mgliście pamiętam, że był tam bardzo sympatyczny nauczyciel... Ale czego uczyli?... Potem chodziłem do szkoły w Inowrocławiu. I wreszcie do Liceum Górskiego w Warszawie. Słynnego liceum.

- Kończył je także Prymas Wyszyński.

- Tak, ale po mnie. Ja w tym liceum zostałem socjalistą. Na lekcjach religii nie byłem nigdy pytany, tylko otrzymywałem oceny. Ksiądz wystawiał mi cenzurkę, ale nie wymagał ode mnie wiary, bo byłem socjalistą. Dyrektor Górski powiedział kiedyś do mnie: ty Lipiński źle skończysz. Połączysz się z komunistami i Żydami i sprzedacie Polskę, sprzedacie niepodległość. Wiele lat później, na wielkim Jubileuszu azkoły, objął mnie ramieniem i rzekł: Lipiński moja chluba...

- W którym roku został pan socjalistą?

- To był rok 1906. Byłem gimnazjalistą. Stworzyliśmy grupę dysku-

syjną, mówiono, że to górszczacy. To była taka dyskusyjna grupa młodzieży socjalistycznej. Studiowałem wtedy nawet Marksa. Kupiłem sobie polskie tłumaczenie pierwszego tomu "Kapitału". Zacząłem czytać I rozdział - potwornie nudny o wartości. Marksa rozważania na temat wartości były o trzy piętra powyżej moich możliwości zrozumienia. Wobec tego dałem Marksowi spokój. Skończyłem na tym pierwszym rozdziale. Nie mogłem się tym zainteresować, ani pojąć o co chodzi. Teoria wartości jest zagadnieniem niebywale abstrakcyjnym. Potem pojechałem na studia do Lipska i Zurychu. Z Zurychu wróciłem w 1913 roku. Od razu zrodził się problem: Co ja mam robić z tym moim ekonomicznym wykształceniem? Pomogli mi przyjaciele - ziemianie, którzy mieli bardzo duże wpływy. Za sprawą ich protekcji dostałem posadę w niesłychanie prestiżowej instytucji narodowej, jaką w Kongresówce był Bank Handlowy. Bardzo trudno było się tam dostać. Jedyna droga wiodła przez mocne protekcje. Mnie przyjęto do pracy na końcu roku 1913, albo na początku 1914. Po paru miesiącach podałem się do dymisji.

- Dlaczego pan zrezygnował z tak prestiżowego stanowiska?

- Nie mogłem znieść tego rodzaju pracy. Powierzono mi podsumowywanie conto correntów bieżących rachunków. Zawsze mi się wszystko myliło. Nie umiałem dobrze porachować. Zostałem bez pracy, a przecież trzeba było żyć. I wtedy zająłem się reporterką. Byłem dziennikarzem w "Kurierze Polskim".

- Jak pan wspomina okres bycia dziennikarzem?

- Bardzo dobrze. Redaktorem naczelnym był Straszewicz - człowiek bardzo mi życzliwy. Dziennikarstwo rzuciłem kiedy dostałem wykłady ekonomii politycznej i historii myśli ekonomicznej na Kursach Handlowych pani Siemiradzkiej. Wówczas były dwie wyższe uczelnie handlowe: Szkoła Główna Handlowa i Kursy pani Siemiradzkiej. Jedna dla mężczyzn, druga dla kobiet... Później, w 1923 roku, zacząłem także wykładać w Szkole Główniej Handlowej.

- Ale to już było w niepodległej Polsce, po pierwszej wojnie. Jak pan przeżył I wojnę?

- Byłem w Warszawie. W żadnym wojsku niestety nie byłem...

- Dlaczego mówi pan niestety?

- Bo trzeba było być w Legionach! A ja dość daleko byłem od tego ruchu. Człowiek bowiem ma takie poglądy, jakie przypadkowo znajdzie. Przypadkowo nie byłem piłsudczykiem.

- Nie był pan piłsudczykiem, ale na poczesnym miejscu w tym pokoju stoi popiersie Piłsudskiego w brązie. Na ścianie zaś, w pokoju obok, wisi jego portret. Jak to dokładnie jest z tym pana stosunkiem do Piłsudskiego?

- Uważam, że Piłsudski był wibitnym mężem stanu i wybitnym polskim patriotą. W czasie, kiedy nikt o tym nie myślał, on organizował siłę zbrojną do walki o niepodległość kraju. Robił to wtedy, kiedy nikomu do głowy nie przychodziło, że można walczyć o niepodległość Ojczyzny.

- A o rok 1920 nie ma pan do niego żadnych pretensji? - nazwijmy to tak. Czy nie dobrze byłoby wówczas wesprzeć Denikina i rozbić siły bolszewickie, będące wtedy w dość dużej rozsypaności?

- Mam, powiedzmy, zastrzeżenia ale nie są one u mnie żywe. Przeważają pozytywne oceny Piłsudskiego. On nie chciał się mieszać do rosyjskich spraw.

- Powiedział pan, że nie był piłsudczykiem, bo był pan socjalistą. A przecież Piłsudski także był socjalistą.

- Tak, ale przeszedł z socjalizmu na walkę o niepodległość.
- W programie socjalistów /nazwijmy to tak/ także była niepodległość Ojczyzny.
- Zgoda, ale wówczas byłem zdania, że ta walka jest przedwczesna. I, niestety, wierzyłem też, że rewolucja wszystko zmieni, wszystko załatwi...
- Kiedy przekonał się pan, że rewolucja nie uczyni szczęśliwości społecznej? Czy stało się to po leninowskiej rewolucji?
- Nie, o wiele wcześniej - wtedy kiedy w PPS-Lewicy powstały dwie grupy. To było przed rokiem 1918. Ja byłem niepodległościowcem.
- W kampanii bolszewickiej nie brał pan jednak udziału?
- Nie poszedłem do wojska ze względu na zły stan zdrowia. Zawsze byłem słabego zdrowia.
- Czy nie wydaje się panu, że zabawnie brzmi taka ocena stanu własnego zdrowia u człowieka, który 18 października skończył 96 lat?
- Rzeczywiście od dziecka byłem niesłychanie delikatnego zdrowia. Pamiętam, jak mój ojciec mówił: zrobimy z ciebie ogrodnika, ponieważ jesteś mizerny i chorujesz. Chodziło mu o to, żebym dla zdrowia ciągle przebywał na powietrzu. Ojciec umarł i sam musiałem się wykierować. Muszę powiedzieć, że przy pomocy matki, która odegrała wielką rolę. Przed śmiercią ojca byliśmy zamożnymi ludźmi. Potem matka była w pewnej potrzebie, czy nawet w pewnej biedzie, a mimo to poałała mnie do szkoły. Później sam siebie posłałem do Warszawy. I miałem to szczęście, że powstała polska szkoła... O pobycie w Liceum Górskiego już pani wspominałem...
- Mówiliśmy o posadzie wykładowcy w SGH. Został pan wykładowcą, ale nie zaprzestał pisania. Jednym zdaniem - pana żyłka publicysty nie zaniknęła?
- Wtedy zacząłem pisać do tygodników. Nie powiem pani dokładnie - kiedy i do jakich, bo wiele nie pamiętam z tej mojej biografii. Pamiętam, że był taki działacz Narodowego Związku Robotniczego - Gustaw Simon. Wydawał tygodnik, do którego też pisywałem. Moi przyjaciele mieli mi to za zło, że pisuję artykuły do burżuazyjnego, jak określali, pisma.
- Jaką tematykę poruszał pan przede wszystkim w swoich artykułach?
- Czy ja wiem? Głównie pisywałem chyba na tematy związane z pracą ludzką...
- Pierwszy artykuł, który opublikował pan w Wilnie, w 1914 dotyczył związków zawodowych.
- I stąd przez wielu uważany byłem za eksperta od związków zawodowych... Kiedy powstał związek literatów pani Zofia Nałkowska zaprosiła mnie na pierwsze posiedzenie związku jako eksperta od związków zawodowych. Żadnym ekspertem nie byłem. O coś pytali, coś im odpowiadałem. O związkach zawodowych miałem też odczyty. Pamiętam, że na warszawskich ałupach wiaiały wielkie plakaty, które głosiły, że Edward Lipiński będzie miał odczyt na temat związków zawodowych.
- Czy były to odczyty dla robotników?
- Nie, dla wszystkich były... Potem zacząłem pracować w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym. Utkwił mi w pamięci pierwszy odczyt, który tam wygłosiłem. Wówczas nazywało się to Towarzystwo Ekonomistów i Statystyków Polskich. Później statystycy się wyodrębnili. A więc ten pierwszy odczyt... Zacząłem mówić bez kartek i ogarnęła mnie po-

tworna trema. Przez godzinę wypowiadałem płynnie zdania, z których żadne nie łączyło się ani z poprzednim, ani z następnym. Był to go-dzinny bełkot bardzo płynnie wypowiedziany.

- A co na to pańscy słuchacze?

- Natalia Gąsiorowska powiedziała do mnie: panie, będzie pan słynnym oratorem... Widocznie coś usiłovali zrozumieć. Postanowiłem się zrehabilitować i wygłosiłem drugi odczyt o teorii Taylora. Ten udał mi się bardzo. Od tego czasu znany byłem jako dobry wykładowca.

- Który to był rok?

- To już było po wojnie, dwudziesty któryś, bo przecież w 1923 zo-stałem wykładowcą w SGH.

- Kto pracował razem z panem w SGH?

- Och, nie pamiętam wszystkich. Były jednak wielkie sławy ekono-miczne. Był profesor Krzeczkowski, który też był socjalistą, no i prof. Limanowski - wybitny socjalista.

- W 1920 roku Dzierżyński pisał z Wyszkowa do Lenina, że z całą pewnością zdobędą Warawę, w zasadzie już ją zdobyli. W teje samej depe-szy donosił także o sprawie, która go bolała, a mianowicie o tym, że klasa robotnicza jeat pod wpływem PPS.

- O tak, PPS była bardzo popularna i robotnicy byli pod wpływem PPS. Absolutnie nie chcieli komunistycznej władzy. Sam także uważa-łem komunistów za wrogów niepodległości Polski.

- A dzisiaj?

- Dzisiaj też nie mam sympatii do komunistów. Przede wszystkim do ich fatalnego systemu ekonomicznego. System ekonomiczny, który zo-stał wynaleziony przez komunizm rosyjski jest absurdalnym systemem. Całkowicie niezgodnym z istotą procesu ekonomicznego. Co to znaczy tzw. gospodarka planowa z naciskiem na to, że wola klasy robotniczej decyduje o tempie rozwoju ekonomicznego? To jest całkowity nonsens. W ten sposób przyspieszyć jedynie można rozwój jednej części gospo-darki kosztem drugiej.

- Tak się to też stało.

- Oczywiście - jeśli są inwestycje to nie ma konsumpcji, nie ma domów mieszkalnych, czy rolnictwa... Z pustego - jak mówił Gomułka - nawet Salomon nie neleje. Owszem, przyspiesza się rozwój zbrojenio-wej gospodarki ciężkiej, ale kosztem mieszkalnictwa, kosztem stopy życiowej mas.

- Kiedy pańskie poglądy akryształizowały się? Inaczej: od kiedy pan nie zmienia swoich poglądów?

- Po pierwsze za czasów młodości wierzyłem w moc rewolucji. Rze-czywiście wierzyłem, że rewolucja może wszystko zmienić. Po doświad-czeniach rewolucji rosyjskiej, a nawet wcześniej, przestałem wierzyć w to, że rewolucja może ulepszyć świat.

- Kiedy miał pan dane na temat osiągnięć rewolucji leninowskiej?

- Bardzo szybko. Nie oceniłem jej jako postępu, a Lenina uznałem za szkodnika pierwszej klasy. Gigantycznych wymiarów szkodnika. To był zdecydowany zwolennik totalitarnego ustroju... Są tacy, którzy powiadają, że zanim się zbuduje socjalizm, trzeba przedtem zmienić człowieka. - Nie - powiedział Lenin - my zrobimy socjalizm z takim człowiekiem jaki jest, ale my go wychowamy przy pomocy trzech narzę-dzi: nasilie - znaz rosyjki?

- Mniej więcej...
- A więc nasilie, przymuszenie, podczinienie - czyli przemoc, przy-
mus, podporządkowanie. Tak powiedział Lenin.
- Czy to są owe enigmatyczne normy leninowskiego postępowania, od
których partia czasami "odchodzi"?
- To jest istota dzisiejszego socjalizmu. Czymże jest ich teoria,
że w społeczeństwie musi być ład? Owazem musi, ale ten ład oni narzu-
cają: ład moralny, ideologiczny, naukowy, ekonomiczny itd. Ład ten
nie pochodzi stąd, że zdarzają się przeciwieństwa, wzajem sobie uatę-
pują, na siebie wzajemnie wpływają i z tego wypływa liberalny ład -
normalny. O nie! Oni narzucają wszystko: jak żyć, jak mieszkać, ile...
wszystko z góry. I to jest przeszkoda wszelkiego rodzaju. To wszyst-
ko wiedziałem szybko po tej nieszczęsnej rewolucji dezertersów.
- Nigdy nie słyszałam takiego określenia leninowskiej rewolucji.
- Ale to faktycznie była rewolucja dezertersów. Na skutek głodu i
przegranej wojny chłopcy rosyjscy masowo uciekali z wojska i gdyby
nie było tych dezertersów nie byłoby rewolucji.
- Czy pracując w SGH należał pan do partii socjalistycznej?
- Nie. Od roku 1918, kiedy wystąpiłem nie należałem już do żadnej
partii. Dopiero w 1946, po II wojnie, wstąpiłem do PPS. Uważałem PPS
za jedyną siłę, która będzie walczyć o niepodległość kraju. Wstępu-
jąc do PPS raz jeden zetknąłem się z Cyrankiewiczem, jako sekreta-
rzem generalnym. Powiedział on: no, mam nadzieję, że przystąpiacie do
naszej grupy bolszewickiej. Mruknąłem coś pod nosem, bo takiego za-
miaru nie miałem. PPS w 1946 zrobiła mnie prezesem Banku Gospodar-
stwa Krajowego. Po 1948, kiedy nastąpiło połączenie PPS z PPR, komu-
niści zlikwidowali mnie jako prezesa, a Bank połączyli z Narodowym
Bankiem Polskim. Właściwie od tego czasu, tzn. od roku 1948, zaczął
się proces systematycznego likwidowania mnie. Potem zlikwidowano mnie
jako profesora ekonomii politycznej i skazano na historię myśli ekono-
micznej.
- To było w roku 1952?
- Tak. Wkrótce odebrano mi w ogóle Katedrę i zlikwidowano mnie ja-
ko pierwszego dziekana wydziału nauk ekonomicznych na UW. Potem zlik-
widowano mnie jako prezesa Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, zaka-
zując wybrania mnie na to stanowisko. Dalej... zlikwidowano mnie ja-
ko naczelnego redaktora "Ekonomisty"...
- Czyli to był cykl kilkunastu, czy kilkudziesięciu lat systema-
tycznej likwidacji? Ostał się z tego procesu ino człowiek?
- Na początku odwilży 1956 roku miałem przemówienie, które zaczą-
łem tak: kiedy przemawiałem tutaj i tutaj - straciłem taką posadę.
Kiedy przemawiałem wówczas - straciłem to i to... Dzisiaj nie mam nic
do stracenia - obchodzę jubileusz.
- Czy kolejne likwidacje rzeczywiście były zawsze na następstwie ja-
kiegś publicznego wystąpienia?
- Zawsze był to efekt publicznych wystąpień. Decyzje były partyj-
ne. Pamiętam, był taki Łukaszewicz. Wezwał mnie i powiada: nie może-
cie być prezesem PTE. Sam słyszałem wasze przemówienie, atakujecie
partię! Mówię mu: nie atakowałem partii tylko gospodarke, system ekono-
miczny.
- Dla nich nie ma żadnej różnicy. Chciałabym jeszcze na chwilę
wrócić do czasów wcześniejszych, a mianowicie do okresu II wojny. Czy
mogłby pan powiedzieć coś o swej działalności w tym okresie, jako
rektora i wykładowcy tajnej Szkoły Głównej Handlowej? Niewiele wia-

domo na ten temat.

- Sporo robiłem w czasie wojny. Założyłem i prowadziłem tajną Szkołę Główną Handlową pod postacią rocznych kursów dla sprzedawców. Niemcy dawali koncepcje na kursy sprzedawców handlowych. Poszedłem do wiceprezydenta miasta i powiedziałem, żeby zdobyli taką licencję, a ja pod pokrywką tych niemieckich kursów zorganizuję tajną Szkołę Główną Handlową. To się udało i istniało przez trzy lata. Pięćdziesięciu profesorów tam wykładało. Powojenna uczelnia uznaje wszystkie nasze egzaminy, bo przecież i tutaj i tam nauczali ci sami profesorowie. W ostatnim 1944 roku mieliśmy 820 studentów. Byłem dyrektorem tej szkoły i dawało mi to masę satysfakcji organizatorskiej.

- Czy Niemcy niczego aię nie domyślali?

- Mieli pewne podejrzenie. Czasami zabierali nam lokal, ale dawali zastępczy. Kiedyś po takiej ekamisyj poszedłem do niemieckiego urzędu. Sekretarz kierownika tego urzędu był dla mnie niezwykle uniżony i tytułował mnie "Herr Rektor". Opowiadano mi też, że podczas przyznawania subsydiów przez warszawski magistrat, obecny był przedstawiciel władz niemieckich. Kiedy doszli do przyznawania minimalnego zresztą subsydium dla naszej szkoły, która oficjalnie nazywała się Miejska Szkoła Handlowa II stopnia - ten Niemiec powiada: wiem, wiem... to jest ta utajona Szkoła Główna Handlowa. Wiedzieli więc, ale tolerowali. Pamiętam powojenny proces Fischera - dyrektora tego dystryktu, któremu podlegaliśmy. W czasie wystąpienia w sądzie przedstawiał istnienie naszej tajnej Szkoły jako punkt na swoją korzyść, bo przecież tolerował nasze istnienie. Skazano go na karę śmierci i wykonano wyrok... To przemówienie zrobiło na mnie niesłychanie przykre wrażenie. Ten dyrektor był niebawale przystojnym i niebawale inteligentnym człowiekiem. Poza tym był niesłychanie sympatyczny.

- Pan był na tym procesie?

- Byłem na nim ekspertem od narodowego socjalizmu. Osobiście nie skazałbym Fischera na karę śmierci.

- Istnienie tej tajnej szkoły nie jest faktem szczególnie czczonym i podnoszonym do rangi wybitnych osiągnięć czasów okupacji. Dlaczego?

- Partia ukrywała to, bo to punkt na moją korzyść, czy na mój plus. Sama uczelnia ceni ten fakt. Pokażę pani dyplom, który otrzymałem w dowód uznania tamtych zasług - jak by się to powiedziało językiem oficjalnym. Prócz tego w czasie wojny byłem bardzo czynny jako autor rozmaitych artykułów. Może dlatego niesłychanie dobroczynnie odczułem po wojnie zakaz wykładania ekonomii politycznej. Po połączeniu partii kazano mi bowiem wykładać historię myśli ekonomicznej. Znalazłem w tej historii źródło niebawalej rozkoszy. Najpierw napisałem książkę o Koperniku jako ekonomistcie. Potem historię polskiej myśli ekonomicznej. Odkrywałem nieznanych ludzi, nieznanne poglądy. Były to niebawale przyjemne lata. Pracowałem wówczas po 12 godzin dziennie.

- Z czego pan żył?

- Z wykładów, bo przecież wolno mi było wykładać historię myśli. Z wykładów profesorskich można było żyć. Ale już to, że mi później zakazali w ogóle wykładów było dla mnie wielkim ciosem.

- Uporządkujmy - to miało miejsce w 1952.

- I dopiero jesienią 1956 wróciłem na uczelnię jako wykładowca.

- Kto w 1952 przekazał panu wiadomość o zakazie?

- Łukaszewicz był moim głównym likwidatorem.
- A nie Rapacki?
- Chyba nie mieszał się do tego. Był przecież moim studentem. I jako student napisał nawet wiersz na moją cześć. Potem pracował u mnie w Instytucie Badania Koniunktur, a potem wyjechał do Włoch. Wrócił i zrobił karierę polityczną. I przestał się ze mną komunikować.
- Czy często spotykał się pan z przedstawicielami władz w czasie akcji likwidacyjnej?
- Nie. Pamiętam jeszcze tylko rozmowę z Kliszką. Powiedział: nie możecie być prezesem PTE. Zrobimy was wiceprezesem Rady tego Towarzystwa. Powiedziałem: dziękuję, nie skorzystam. Na to on powiada, że jest to ultimatum stawiane przeze mnie partii... W czasie tego odsunięcia, przed 1956 rokiem, napisałem także historię myśli ekonomicznej powszechnej. Cały czas miałem co robić. Po Październiku wróciłem do wykładów w Uniwersytecie i w SGPiS. Aż przyszedł rok - nie pamiętam który - kiedy skończyłem 70 lat i odeszli mnie na emeryturę.
- Mimo przywrócenia pana do łask w 1956 roku nie był pan członkiem zespołu opracowującego reformę gospodarczą.
- Nie byłem w żadnym zespole. Nie było takiego zespołu.
- A Lange i Bobrowski...?
- Robili syatem jaki był... Choć Lange był krytyczny. Pamiętam jego wypowiedź ze spotkania z delegacją angielską. Mówił, że system ekonomiczny, jaki mamy w Polsce, jest przydatny dla gospodarki wojennej, a nie normalnej gospodarki, że to typ rosyjskiej gospodarki wojennej... Niemniej w jego podręczniku ekonomii nie ma rozdziału o przedsiębiorstwie. Wynikało to chyba z oazołomienia planowością gospodarki. Pisał, że urzędnik z Komisji Planowania jest jak przedsiębiorca. On jest twórczy, on ma pomysły. To nie jest prawda. Zawsze mówiłem: przedsiębiorstwo jest podstawą gospodarki. Aktywność i kreatywność ludzka jest podstawą gospodarki. Mówiłem to od początku, od 1946 roku. Spotkałem się wówczas z Hilarym Mincem. Oświadczył mi: w tym roku zaczniemy budować socjalistyczny ustrój w Polsce. No dobrze - powiedział - to znaczy zniszczycie system prywatnej inicjatywy, a wprowadzicie system indywidualnej inicjatywy. Minc spojrział na mnie i nic nie powiedział. Nie zrozumiał o co mi chodziło.
- A może nie wyrażał swoich opinii bez porozumienia z pozostałymi elementami ówczesnej trójcy: Minc, Bierut, Berman.
- Choć trzeba powiedzieć, że Minc był inteligentnym człowiekiem... Już wówczas miałem, czyli od zawaze, koncepcję, że życie gospodarcze jest jak sztuka, jak poezja... Musi się opierać na ludziach. Planowanie to rzecz pomocnicza, a główną sprawą jest aktywna praca, twórczość, kreatywność ludzka. Od początku świata miałem takie poglądy i byłem jedynym ekonomistą, który w ogóle azerzył poglądy o konieczności przedsiębiorstwa. Według oficjalnej wykładni wymienione przeze mnie cechy to przymioty zbędne, bo korporacja, partia i zrzeszenie będzie myślało. Wyższa wtedy taka moja kiałęczka "Rewizje" /1956/ składająca się z artykułów krytykujących system ekonomiczny. Poglądy te głosiłem także gdzie się dało. Przyjmowane było krzywo. Kiedyś podszedł do mnie ktoś po odczycie i powiedział: panie, co pan robi? To co pan mówi mógłby pan ewentualnie powiedzieć w małym partyjnym gronie, w tajemnicy, a nie dla tłumu...
- Jednym słowem niejawnosć życia politycznego, gospodarczego etc. organizacji, do której pan przez cały ten czas należał - czyli partii. Przez jakiś czas był pan nawet równoległe członkiem partii i KOR.

Nie wystąpił pan, czy nie widział pan w tej podwójnej przynależności żadnej sprzeczności?

- Nie wystąpiłem, bo nie uważałem za słuszne robienie jakichkolwiek demonstracji. Kiedy zostałem członkiem tej ogólnej zjednoczonej partii, to przecież we wszystkich swoich wystąpieniach mówiłem co myślę. Byłem enty, krytykowałem. To, że byłem członkiem partii, wcale mi nie przeszkadzało. Przychodzili, dawałem akładki - to było wszystko. Na zebrania nie chodziłem. Żadnego udziału w partii nie miałem, ale po co miałem demonstrować. Im musiało to przeszkadzać, skoro sami mnie zawiadomili, że zostałem usunięty czy skreślony.

- KOR w zasadzie zawiązał się w pańskim mieszkaniu. Jak sądzę, nie był to przypadek. Dla mnie znaczy to tyle, że był pan znany jako człowiek o określonych poglądach i postawie etycznej. Czy wcześniej, w roku 1968, miał pan kontakty z Kuroniem czy Michnikiem?

- Kuronia znałem w marcu 1968, ale nie miałem wówczas blikich kontaktów z młodzieżą. W czasie marcowych strajków chodziłem po prostu na uczelnię i podtrzymywałem ich na duchu. Nie odegrałem wówczas żadnej aktywnej roli. Moja aktywność datuje się dopiero na czas powstania KOR-u. W 1976 roku, po wypadkach w Radomiu i Ursusie zaczęli zbierać składki, żeby pomagać robotnikom. Głównym organizatorem był Jacek Kuroń. Przyszedł do mnie i mówił o zbiorce pieniędzy, o pomocy dla robotników. Ja mu na to powiedziałem: załóżmy komitet... Tutaj było pierwsze zebranie. W ogóle wszystkie zebrania odbywały się w tym mieszkaniu.

- Jakie znaczenie, w pana opinii, miało powstanie KOR-u?

- Bez żadnej przesady - olbrzymie. Dobrze wtedy były czasy. Myśmy przecież działali całkowicie jawnie. Wydawaliśmy Biuletyn, gdzie były nazwiska, adresy, telefony. Kiedy u mnie było zebranie - schody pełne były ubeków, ale nie wchodzili. O zebraniu wiedzieli z podsłuchów telefonicznych. Pytała pani o znaczenie... KOR zainicjował późniejszy ruch "Solidarność". Myśmy przecież tworzyli pierwsze wolne związki zawodowe robotników i chłopów. Myśmy redagowali "Robotnika". Wydawaliśmy masę książek w "Nowej". Ruch intelektualny, związkowy i polityczny rozpoczął się w KORze i KOR wpłynął na społeczeństwo. Nas było 33, ale z nami współpracowało parę tysięcy ludzi w Polsce. Nie było potrzeby zwiększania ilości choćby ze względów lokalowych. W tym pokoju mieściło się trzydzieści osób, a np. dla pięćdziesięciu zabrakłoby miejsca. Nie było też potrzeby intelektualnej. Nie w liczbie bowiem rzecz. Zestaw ludzi był taki, iż wystarczał do przeprowadzenia wszystkich akcji KOR-u.

- O ile mi wiadomo, pan nie miał wielkich przykrości ze strony służb bezpieczeństwa. Chyba ratował pana wiek i profesorskie usługi?

- Raz tylko przyszło dwóch panów i powiadają: jesteście przedstawicielami organów ścigania. Na to ja powiadam: no to ścigajcie panowie. Chodziło im o to, czy na mojej maszynie pisane były jakieś ulotki. Zbadali maszynę i poszli. Poza tym miewałem rozmaite telefony o drugiej czy trzeciej w nocy i nieznanym mi głosem informował mnie, że jestem drań, pies taki i owaki itd. itd. Pisano też w miejscach publicznych: profesor Lipiński - stary syfilityk.

- Miał pan być świadkiem w procesie KOR. Czy był pan przesłuchiwany?

- Byłem badany przez wojennego prokuratora. Przyjechał żołnierz i przywiózł mi zaproszenie. Powiadam mu, że nie przyjadę, bo nie mam samochodu, a nie wychodzę. Na drugi dzień przysłali po mnie samochód i potem odwieźli mnie z powrotem. Prokurator zapytał mnie: dlaczego

pan przystąpił do KOR? Pan o takim autorytecie moralnym?

- Trzeba było powiedzieć, że właśnie dlatego.

- Powiedziałem mu: panie, niech pan przeczyta uchwały IX Zjazdu PZPR, to będzie pan wiedział, dlaczego powstał KOR... A - powiada - walka ze złem...

- Przeżył pan w PRL wszystkie kolejne kryzysy. Jak je pan ocenia?

- Ten system, jaki narzucono społeczeństwu, jest sprzeczny z normalnymi drogami rozwoju każdego społeczeństwa. Znacząco, że tutaj zahamowano rozwój społeczeństwa. Zahamowano w dziedzinie moralnej, politycznej, ekonomicznej... I atąd konieczność walki z tym systemem dla zapewnienia normalnych dróg rozwoju narodu, czyli walka z komunizmem stworzonym w Związku Radzieckim.

- Innego komunizmu nie ma.

- Komunizm to jest utopia. Rosyjaki nie jest utopią, tylko systemem arbitralnych rządów. Systemem despotycznych, totalitarnych rządów ograniczającym wolność ludzką i zdolność rozwoju społeczno-moralno-ekonomicznego. W Rosji nie ma sił, które zmieniłyby ten system, a Polaka nie ma niepodległości. Należy się więc organizować i walczyć z tym co jest złe. Taka walka może dać efekty.

- Jak pan ocenia okres "Solidarności"?

- To był wspaniały okres odrodzenia narodowego. "Solidarność" była żywiołowym ruchem przez nikogo nieorganizowanym. Ten ruch zostawił ślady w społeczeństwie. Obudził je. To już jest inne społeczeństwo. Społeczeństwo, które poczuło wolność.

- Jaki będzie kolejny kryzys?

- Trudno mi powiedzieć, jaki będzie, ale z całą pewnością będzie. Społeczeństwo jest niezadowolone z tego co jest. Rodzą się siły i będą ałą rodziły, które będą usiłowały protestować. O tym świadczy cały XIX wiek. Nie mieliśmy niepodległości, ale ciągle usiłowaliśmy o nią walczyć, mimo że nie mieliśmy szans na zwycięstwo.

- Czy w efekcie kolejnych kryzysów Związek Radziecki może pójść na jakieś ustępstwa w stosunku do Polski?

- Jeżeli Związek Radziecki zgodził się na to, żeby w Polsce była prywatna własność chłopska - to może się zgodzić na pewne ustępstwa polityczne. Na sytuację zbliżoną do sytuacji Finlandii.

- Czyżby pan postulował osławioną finlandyzację PRL?

- Taka możliwość istniała bezpośrednio po wojnie. I tylko dzięki PPR nie została wykorzystana. W Jałcie wprowadzić oddano nas w ręce Rosji, ale zapewniono nam demokratyczny system i zrobiono pierwsze demokratyczne wybory, które PPR sfałszowała. Gdyby z tych wyborów wyszedł demokratyczny gabinet, byłaby pewna finlandyzacja. Dzięki polskiej Targowicy - PPR-owi - zostaliśmy sprzedani całkowicie.

- Nie sądzi pan, że mogli mieć takie polecenie?

- Oni tego pragnęli! Pragnęli połączyć się z Rosją. Za swój obowiązek uważali połączenie się z Rosją i wprowadzenie rosyjskich stosunków.

- Wręcz przeciż pragnęli być siedemnastą republiką, ale Stalin nie chciał.

- Ale chciał mieć Polskę komunistyczną. Republiki nie chciał ze względu na międzynarodowych. I zgodziłby się na pewną finlandyzację

również z tych samych powodów międzynarodowych. I to PPR uniemożliwiła. Poszła na całkowite oddanie Rosji.

- Jak pan, człowiek niewierzący, ocenia rolę Kościoła w powojennej Polsce?

- Pozytywnie. Kościół obejmuje masy, wywiera wpływ na masy społeczne. Odegrał rolę wyraźnie niepodległościową w granicach, w jakich może. Polityka Watykanu nie jest polityką walki politycznej. Byłem kiedyś u znajomych w Skierniewicach, gdzie był też jeden z biskupów. Odwiozł mnie ze Skierniewic do domu. On powiedział do mnie: my różniemy się z panem. Kościół stoi bowiem na stanowisku nie walki politycznej, tylko wyboru mniejszego zła. Jeżeli ma alternatywę: większe i mniejsze zło - wybiera mniejsze i idzie z nim na ugodę. To jest polityka nie walki, tylko porozumienia. I taką politykę Kościół prowadzi. I to jest też polityka Prymasa Glempa. Jego polityka jest pseudowatykańska, ale według mnie jest nazbyt ostrożny.

- Jak pan ocenia działanie podziemnych struktur "Solidarności"?

- Nie mam z nimi bliższego kontaktu. Widzę jednak, że wydaje pisma, gazetki... To dowód, że jest to ruch podziemny o historycznym znaczeniu.

- Uważa pan więc wydawanie podziemnej prasy i literatury za najistotniejsze zadanie podziemnego ruchu?

- Oczywiście! Innego działania nie ma. Żadnego podziemnego ruchu związkowego przecież nie ma.

- A np. zbieranie składek?

- Niech zbierają. To nie jest żadna działalność. Podstawą są pisma. To ma znaczenie. Urabia ludzi, kształtuje myśli.

- Czy wróży pan, długi żywot podziemnemu ruchowi?

- Myślę, że tak. Mamy przecież wiekowe doświadczenia w działalności podziemnej. W tej chwili dla narodu jest konieczne, żeby była podziemna walka. W walce nie wolno ustawać... Osobiście odczuwam brak jakiejś organizacji, do której bym należał tak jak do KOR. Byłem przeciwnikiem jego rozwiązania. Przynależność do organizacji to bardzo ważna rzecz. To jest poczucie przynależności do grupy. To człowiek niesłychanie wzbogaca.

- Jak pan określiłby swoje życie? W mojej opinii jest to życie człowieka, który pozostał sobie wierny.

- Pozostałem sobie wierny.

- W czym znajdował pan siłę moralną, by się stale przeciwstawiać, by walczyć o bycie sobą? Wszak nie z wiary religijnej, bo deklaruje się pan jako niewierzący?

- Nie z wiary religijnej, ale z wiary w to, że należy działać, że należy walczyć w każdych warunkach z tym co jest złego. I wierzyć, że walka ta może dać efekty.

- Brzmi to jak ewangeliczne przesłanie. W ogóle pański socjalizm określiłbym mianem ewangelicznego.

- Nie mam laski wiary - jak napisano o mnie w "Tygodniku Powszechnym". Mnie to w ogóle nie dotyczy. Ten problem nie żyje we mnie. Nie istnieje dla mnie problem religii. Mnie nie zaprzęta, czy będę żył po śmierci. Zupełnie mnie to nie interesuje. Dla mnie hipoteza, że jest Bóg, jest tak samo niezrozumiała jak twierdzenie, że Boga nie ma. Jednakowo nie mogę tego zrozumieć. Tak samo nie potrafię zrozumieć jak powstał wszechświat. Jak można zrozumieć? To nie jest dla mnie

problem. Moje problemy są historyczne, ekonomiczne, społeczne, polityczne. Mogę pani powiedzieć, co rozumiem przez socjalizm, ale nie co znaczy życie pozagrobowe. Socjalizm to jest dobrobyt mas. Socjalizm to jest to, że każda rodzina ma piękne mieszkanie, ponieważ jest to podstawa moralną człowieka i jego życie osobiste jest w niebywały sposób związane z mieszkaniem. Tym bardziej jeżeli człowiek siedzi w tym mieszkaniu długo. Cały dzień - jak ja. To jest część mojego ciała, mojego organizmu. W innym mieszkaniu nie mógłbym w ogóle żyć. Socjalizm to jest też wolność polityczna. To jest to, że mogę mówić, co myślę...

- Tutaj akurat pan może.

- W tym mieszkaniu mogę, ale na wykładzie już mi nie wolno itd. itd.

- Co pan uważa za rzecz dla Polski najkonieczniejszą do zrobienia - już natychmiast i teraz?

- Przede wszystkim należy wprowadzić demokrację polityczną, żeby ludzie chcieli pracować, mieli ochotę pracować, żeby Reagan i inne państwa kapitalistyczne chciały dać kredyty. I trzeba zmienić ten system ekonomiczny. Co to znaczy ideologia zamiast praw ekonomicznych? Dostałem taką książeczkę o dyskusjach ekonomicznych z czasów Lenina. O czym tam głównie dyskutowano? O przyspieszeniu rozwoju. Jakie widziano środki przyspieszające ten rozwój? Zbiorową wolę proletariatu! Uśmieiałem się jak suseł.

- Z pańskiego życiorysu wynika, że nawet w tym systemie można zachować wolność osobistą, własną.

- Można, oczywiście! Można zachować samodzielność, samoistność. Można być wolnym nawet w tych czasach. Zachować wolność myślenia...

- Czy któraś z postaci, z którymi zetknął się pan w młodości wywarła na pana szczególnie wpływ? Czy był ktoś, kogo określiliby pan mianem mistrza?

- Na mnie największy wpływ wywarł Ludwik Krzywicki. Od niepamiętnych czasów. Był przecież ode mnie dużo starszy. To była wielka postać w czasach, kiedy ja dopiero byłem studentem. Byłem z nim w bardzo bliskim kontakcie. W czasach, kiedy powstała Polska i Główny Urząd Statystyczny - on był jego prezesem, a ja dyrektorem departamentu. Mieszkałem przy Alejach Jerozolimskich i Krzywicki chyba też tam mieszkał. W każdym bądź razie codziennie do mnie przychodził. Miałem u siebie w domu olbrzymią ilość prasy zagranicznej i on przychodził na czytanie gazet i na rozmowy. Napisał książeczkę "Sic itur od virtutem" - "Tak się idzie do cnoty" - i to wywarło na mnie wielki wpływ. Pierwszy odczyt, jakiego w życiu wysłuchałem, to był odczyt Krzywickiego. Słuchałem go z nabożeństwem. Była to dla mnie postać takiego wodza narodowego. Pamiętam takie zdarzenie, które bardzo mnie poruszyło. Przyszedł kiedyś Krzywicki i nie powiedział ani słowa. Podeszedł do okna i głośno zaszlochał. Płakał. Okazało się, że żona mu umarła. To jego zachowanie zdumiało mnie, bo była to postać monumentalna. Chłodny był w sposobie bycia, a jednak był uczuciowy, skoro głośno u mnie zepłakał.

- Miał do pana przyjacielskie zaufanie.

- Miał do mnie przyjacielski stosunek. Drugą taką postacią, która wywarła na mnie wpływ był przywódca PPS-Lewicy, Tadeusz Rechniewski. On darzył mnie również przyjeźnią. Razem stworzyliśmy potem w obrębie PPS-Lewicy tę niepodległościową grupę... To są te dwie postacie, które wywarły na mnie wpływ.

- A potem był pan już całkowicie ukształtowany i nikt nie wywarł wpływu?

- Chyba byłem już całkowicie urobiony.
- Sądzę, że winnam penę podziękować i przeprosić, że tak długo pana męczyłam.
- Nie czuję się zmęczony.
- Wobec tego dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: RUTA NOYSZEWSKA

TOMASZ GLUZIŃSKI

ONI

Nie myśl że to twój charakter im się nie podoba
 Twoja słabość albo świetne usposobienie
 Że nie podoba im się twój krytyczny umysł
 Albo twoje wiara zaciekle
 Albo wyżynny lot niesfornej twojej duszy
 Albo miłosne twoje zniewolenie

Pora byś wiedział: że nie podobasz im się cały
 Taki jaki jesteś i cokolwiek byś robił i mówił
 I nie ja będę ci opowiadał
 Jaka to czarna nienawiść jedowita
 I kim są zabójcy Boga
 I trzebiciele ludów

ZE ŚPIEWNIKA

1.

Wszyscy co zdrowie twoje pili
 Wszyscy z którymi jesteś kwita
 I ci co do krwi cię zranili
 Stoją w kolejce po pół żyta

Zataczający się szalbierze
 Zbój co przypije do oszusta
 Lotr co na świadka łotra bierze
 Sobowtór z głębi twego lustra

I ta co kocha cię i dręczy
 Szczęście ulotna złuda piękna
 Promienna zjewa złych miesiący
 Zapadła w ciemność twego tętna

2.

Te w odrętwiślonych kamienicach
Klasyczna lokatorów lista
Dzieciate stała przy rodzicach
Z byłym związkowcem eksartysta

Duch co w peweksach supła centy
Trup co za wojnę ma medale
Zdezelowany bard stuknięty
I trzech rencistów po zawale

I nieobecny od lat paru
Wychodźca do zamorskich stron
Splunięcie zbire go pożegna
I jazgot podwarszawskich wron

3.

Te wszystkie nasze dzienne fuchy
Lata przeżyte jak się zdarzy
Te nie do pary nasze ciuchy
Te nasze buble nie do twarzy

Ten kruk kraczący: koniec! koniec!
Statystom więźniom łowcom szmalu
Te infernalne gry w nic o nic
Na obrotowych scenach żalu

I strzelejący sobie w usta
Legendy pogrobowiec błady
I los jak szelest kart oszusta
I miłość nad karnetem zdrady

TOMASZ GLUZINSKI

DOKUMENTY BEZPRAWIA

Ministerstwo Pracy, Płac
i Spraw Socjalnych

wyłącznie do użytku służbowego

N O T A T K A

w sprawie podejmowania pracy społecznie użytecznej przez absolwentów szkół wyższych nie podlegających obowiązkowi odbywania służby wojskowej.

Zgodnie z obowiązującymi zasadami część absolwentów szkół wyższych podlega obowiązkowi rocznej służby w ramach szkoły podchorążych rezerwy. Pozostali, w tym także absolwentki nie podlegają temu obowiązkowi.

Dla zapewnienia równości sytuacji oraz w dążeniu do spełnienia postulatów wysuwanych przez społeczeństwo, w tym w szczególności realizacji zasady "wychowania przez pracę" oraz doskonalenia obowiązującego obecnie systemu zatrudniania absolwentów, proponuje się wprowadzenie obligatoryjności podejmowania pracy przez absolwentów szkół wyższych, którzy nie podlegają obowiązkowi odbywania służby wojskowej lub zostali z tego obowiązku zwolnieni. Dotyczyłyby to ok. 16 t.s. absolwentów i 22 tys. absolwentek. Pozostała część /ok. 14 tys./ podlega obowiązkowi odbycia służby wojskowej w ramach SPR.

Realizacja powyższego założenia nastąpiłaby według następujących zasad:

1. Praca odbywałaby się w różnych dziedzinach gospodarki a w szczególności:
 1. w zakładach społecznej służby zdrowia,
 2. w zakładach pomocy społecznej,
 3. w jednostkach organizacyjnych, których działalność związana jest z ochroną środowiska naturalnego oraz ochroną gruntów rolnych i leśnych,
 4. w zakładach użyteczności publicznej /łączność, gospodarka mieszkaniowa i komunalna itp./,
 5. w zakładach pracy, uznanych przez MPPrPłiSS za odczuwające deficyt kadr z wyższym wykształceniem,
 6. w zakładach, z którymi studenci zawierli umowę o stypendium fundowane lub umowy przedwstępne na stanowiskach produkcyjnych lub pomocniczych.
2. Powoływanie i kierowanie do odbycia obowiązku pracy społecznie użytecznej następowaloby na podstawie wniosków o zatrudnienie zgłaszanych przez zakłady pracy do organów wykonujących pośrednictwo pracy.
3. Powołuje absolwentów i kieruje ich do pracy w formie decyzji administracyjnej pełnomocnik d/s zatrudnienia absolwentów szkół wyższych.
4. Absolwenci w trakcie odbywania pracy, o której była mowa, mogą być zbiorowo zakwaterowani.
5. Praca, do której wykonywania mogą być wezwani absolwenci odbywać się:
 1. w formie zorganizowanej na podstawie zbiorczych umów o pracę,
 2. na podstawie indywidualnych umów o pracę zawieranych między zakładami pracy a absolwentami /studentami/.Do absolwentów mają zastosowanie ogólnie stosowane przepisy prawa pracy. Można również zastosować wariant pracy w grupach zorganizowanych lub indywidualnie z zastosowaniem form obowiązujących przy zastępczej służbie poborowych. Oznacza to, że absolwentowi odbywającemu obowiązek pracy przysługiwałoby od zakładu pracy:
 1. uposażenie w wysokości i na zasadach przewidzianych dla szeregowego zasadniczej służby wojskowej,

2. bezpłatne codzienne wyżywienie albo równoważnik pieniężny,
 3. bezpłatnie odzież ochronna, robocza i sprzęt ochrony osobistej, stosowna do norm obowiązujących w danym zakładzie pracy,
 4. równoważnik pieniężny za ubranie,
 5. nagrody na zasadach przewidzianych dla pracowników, które są wypłacane z funduszu zakłogi,
 6. bezpłatne zakwaterowanie,
 7. bezpłatne pracownicze bilety miesięczne na przejazd i miejsca pobytu do zakładu pracy i z powrotem,
 8. świadczenie socjalne finansowane z zakładowego funduszu socjalnego,
 9. świadczenie z zakładowego funduszu mieszkaniowego,
 10. zasiłki na żonę niepracującą wychowującą dzieci.
6. Obowiązek pracy, o którym mowa wynosi 12 miesięcy i dotyczy:
1. absolwentów /mężczyzn i kobiet/,
 2. studentów ostatniego roku studiów, którzy bez usprawiedliwionej przyczyny nie obronili pracy dyplomowej w terminie przewidzianym regulaminem studiów.
7. Wykonywanie obowiązku pracy zalicza się do okresu pracy przewidzianego w umowie o stypendium fundowane lub umowie przedwstępnej.
8. Absolwenci odmawiający podjęcia wskazanej pracy są traktowani jak osoby uporczywie uchylające się od pracy i w odniesieniu do nich mają zastosowanie przepisy ustawy o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy.
9. Wprowadzenie wyżej proponowanych rozwiązań wymaga:
1. zmiany ustawy o zatrudnieniu absolwentów lub wydanie nowej ustawy,
 2. wydanie rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie podejmowania pracy przez absolwentów szkół wyższych regulującego w szczególności:
 - zasady wynagradzania absolwentów,
 - wzywania i kierowania do pracy,
 - zadania uczelni, pełnomocników oraz wydziałów zatrudnienia i spraw socjalnych,
 - restrykcji w przypadku nie wykonywania lub nagannego wykonywania pracy,
 - nagradzania absolwentów /dyplomy/,
 - upoważnienia MPrPłiSS do określenia szczegółowego trybu działania w omawianym zakresie.

Powyższe rozwiązania przyniosłyby następujące korzyści:

1. w części byłoby zaspokojone b. duże zapotrzebowanie na robotników, zgłaszane przez zakłady pracy, zwłaszcza, że w każdym miesiącu wpływa kilka tysięcy wolnych miejsc pracy dla robotników z zakwaterowaniem,
2. wpłynęłoby korzystnie na terminowość kończenia studiów, ponieważ do podjęcia pracy byłiby wzywani także studenci, którzy w terminie nie obronili prac dyplomowych,
3. przyczyniłoby się do lepszego zaspokojenia terenowych potrzeb na absolwentów szkół wyższych /np. na nauczycieli/, gdyż wybór między pracą fizyczną w mieście a pracą zgodną z poziomem i kierunkiem wykształcenia, premioną dodatkowo różnymi zachętami /kredyty, działki/ w większości przypadków byłby przesądzony.

Opracował:
Zespół pod kierownictwem
Dyrektora Departamentu Zatrudnienia
Zbigniewa Borawskiego

Aprobował:
Józef Bury
Podaekretarz Stanu

Warszawa, 4 października 1984 r.

Wstępny projekt do konsultacji
/do użytku służbowego/

U S T A W A
o zwrocie kosztów wykształcenia

Art.1.

1. Obywatele polscy, którzy ukończyli w Polsce zasadnicze szkoły zawodowe, średnie szkoły zawodowe i równorzędne, szkoły wyższe lub studia doktoranckie, szkoły wyższe lub studia doktoranckie za granicą na podstawie umów międzynarodowych o kształceniu obywateli polskich za granicą, zwani dalej "absolwentami" obowiązani są do świadczenia pracy w zakładach pracy gospodarki społecznej.
2. Absolwent, który bez uzasadnionej przyczyny nie przepracował w zakładach pracy gospodarki społecznej co najmniej 10 lat może być obowiązany do zwrotu Skarbowi Państwa kosztów wykształcenia.
3. Obowiązek, o którym mowa w ust.2 powstaje z upływem sześciu miesięcy od daty ukończenia ostatniej szkoły lub studiów.
4. Za absolwantów w rozumieniu ustawy uważa się również uczniów i studentów ostatniego roku nauki, którzy bez usprawiedliwionej przyczyny nie ukończyli szkoły lub studiów.

Art.2.

1. Orzeczenie o zwrocie kosztów wykształcenia następuje w formie decyzji jeżeli absolwent uchyla się od wykonywania pracy w zakładach pracy gospodarki społecznej.
2. Organami właściwymi do podejmowania decyzji o zwrocie kosztów wykształcenia są terenowe organy administracji państwowej stopnia wojewódzkiego o właściwości szczególnej.
3. Podjęcie decyzji o zwrocie kosztów wykształcenia następuje na wniosek organu właściwego do spraw pośrednictwa pracy, uzasadniony potrzebami racjonalnej gospodarki kadrami.

Art.3.

Organ właściwy do spraw pośrednictwa pracy występuje z wnioskiem o orzeczenie zwrotu kosztów wykształcenia po powzięciu wiadomości, że absolwent:

1. wyjeżdża za granicę na pobyt stały, albo
2. nie dopełnia obowiązku określonego w art.1 ustawy z dnia 26 października 1982 r. o postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy /Dz.U.nr 35 poz.229/, albo
3. nie podejmuje pracy w jednostkach gospodarki społecznej.

Art.4.

Organ właściwy do podejmowania decyzji o zwrocie kosztów wykształcenia może na wniosek absolwenta odroczyć obowiązek, o którym mowa w art.1 nie dłużej jednak niż do trzech lat.

Art.5.

1. Absolwent wyjeżdżający na pobyt czasowy za granicę obowiązany jest złożyć zabezpieczenie zwrotu kosztów wykształcenia.
2. Absolwent zwraca koszty wykształcenia lub składa zabezpieczenie zwrotu kosztów wykształcenia w wysokości obowiązującej w roku orzeczenia o zwrocie kosztów lub składania zabezpieczenia zwrotu kosztów wykształcenia.
3. Absolwent, który ukończył:
 1. więcej niż jedną ze szkół, o których mowa w art.1 obowiązany jest zwrócić koszty wykształcenia lub złożyć zabezpieczenie zwrotu kosztów wykształcenia w wysokości ustalonej dla szkoły, w której są one najwyższe.

2. szkołę wyższą i studia doktoranckie, obowiązany jest zwrócić łącznie koszty wykształcenia w szkole wyższej i na studiach doktoranckich.

Art.6.

1. Przez koszty wykształcenia, o których mowa w art.1, rozumie się pozainwestycyjne koszty wykształcenia poniesione ze środków państwowych i spółdzielczych.
2. Wysokość kosztów wykształcenia absolwenta w zależności od posiadanego wykształcenia ustala w drodze rozporządzenia w porozumieniu z Ministrem Finansów i ministrami nadzorującymi poszczególne typy szkół:
 1. Minister Oświaty i Wychowania - dla absolwentów szkół średnich i równorzędnych oraz dla absolwentów zasadniczych szkół zawodowych.
 2. Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki dla absolwentów, którzy ukończyli studia wyższe lub studia doktoranckie w Polsce oraz którzy ukończyli studia wyższe lub doktoranckie za granicą na podstawie umów międzynarodowych o kształceniu polskich obywateli za granicą.

Art.7.

Wysokość kosztów wykształcenia, o którym mowa w art.6 zmniejsza się o 20% za każdy rok przepracowany po upływie pięciu lat z okresu, o którym mowa w art.1 ust.2.

Art.8.

1. Rada Ministrów określi w drodze rozporządzenia:
 1. kategorie absolwentów, do których nie stosuje się przepisów ustawy w związku z:
 - a/ wyjazdami za granicę na pobyt stały,
 - b/ wyjazdami za granicę na pobyt czasowy;
 - c/ nie podejmowaniem pracy w zakładach pracy gospodarki uspołecznionej,
 2. zasady i tryb wnioskowania i orzeczenia o zwrocie kosztów wykształcenia, zawiezania spłaty i zabezpieczenia tych kosztów oraz odroczenia obowiązku wynikającego z ustawy.
2. Minister Pracy, Płac i Spraw Socjalnych określa w drodze rozporządzenia inne formy zatrudnienia oraz rodzaje pracy gospodarki nieuspołecznionej, w których wykonywanie pracy traktuje się jako spełnienie obowiązku wynikającego z ustawy.

Art.9.

Przepisów ustawy nie stosuje się do absolwentów, którzy ukończyli naukę w zasadniczych szkołach zawodowych, średnich szkołach zawodowych i równorzędnych oraz na studiach wyższych lub na studiach doktoranckich finansowanych z innych źródeł niż środki państwowe i spółdzielcze.

Art.10.

Obowiązek wynikający z ustawy ustaje po upływie 15 lat od ukończenia ostatniej nauki lub studiów o których mowa.

Art.11.

Ustawa wchodzi w życie z dniem ogłoszenia i odnosi się do absolwentów, którzy ukończyli szkoły lub studia, o których mowa w art.1 ust. 1 po dniu 30 czerwca 1985 r.

UZASADNIENIE

Projekt ustawy zobowiązuje absolwentów do zwrotu kosztów wykształcenia jeśli przez świadczenie pracy w zakładach pracy gospodarki uspołecznionej nie zrekomensowali społeczeństwu poniesionych na kształcenie nakładów lub nie zamierzają w ogóle podjąć pracy w kraju, w związku z wyjazdem za granicę na pobyt stały.

Celem ustawy jest więc aktywizowanie absolwentów do podejmowania pracy w państwowych i spółdzielczych zakładach pracy a także w innych zakładach, których działalność Rada Ministrów uzna za społeczną potrzebną. Ograniczy to możliwości zatrudnienia absolwentów w nieuspołeczniczonych zakładach pracy oraz podejmowania pracy na własny rachunek w dziedzinach, która nie są niezbędne w życiu gospodarczym kraju. Zmniejszy to również możliwości nie podejmowania pracy w ogóle, bez dostatecznie ważnej przyczyny /np. wychowanie dzieci, inwalidztwo itp./.

Projekt ustawy nie przewiduje wprowadzenia systemu ujawniania osób, które mogą być zobowiązane do zwrotu kosztów wykształcenia, gdyż wiązałoby się to z koniecznością prowadzenia bieżącej ewidencji wszystkich zatrudnionych i operatywnego aktualizowania tej ewidencji. Zważywszy, że liczba czynnych zawodowo obywateli wynosi ponad 17 mln osób oraz że każdego roku ponad 2 mln osób zmienia pracę a także 350 tys. absolwentów podejmuje pierwszą pracę zawodową, prowadzenie takiej ewidencji oraz ciągłe jej aktualizowanie wymagałoby zastosowania elektronicznej techniki obliczeniowej i wiązałoby się z koniecznością powołania licznego aparatu kontrolnego, nadzorującego aktualizowanie danych zawartych w systemie /niezwłoczne powiadomienie o każdym przypadku przyjęcia lub zwolnienia z pracy/. Ze względu na koszty realizacji powyższego nie byłaby możliwa. Przyjęto więc założenia, że żądanie zwrotu kosztów wykształcenia będzie następowało wybiórczo, "po podjęciu przez urząd wiadomości" o zaistnieniu przypadku, niezależnie od źródeł tej wiadomości. Oznacza to, że wojewodowie w zależności od sytuacji na rynku pracy oraz stopnia występujących zapotrzebowań na pracowników, będą mogli w większym lub mniejszym stopniu uaktywnić źródła informacji o osobach, które powinny być zobowiązane do zwrotu kosztów wykształcenia /MO, komitety osiedlowe, zakłady pracy itp./.

Rozwiązania przyjęte w projekcie ustawy nie stoją w kolizji z postanowieniami Art.72 Konstytucji PRL o prawie do nauki. Żądanie zwrotu kosztów wykształcenia może nastąpić dopiero w przypadku nie spełnienia zasad określonych w art.19 Konstytucji, o prawie i obowiązku pracy, ani też nie naruszają zasad polityki Państwa wobec rolnictwa nieuspołeczniczonego i rzemiosła. Uznanie kategorii absolwentów zwolnionych od obowiązku wynikającego z ustawy, form zatrudnienia oraz rodzajów nieuspołeczniczonych zakładów pracy, w których wykonywanie pracy uznaje się za spełnienie obowiązku wynikającego z ustawy, projekt ustawy pozostawia w gestii Rady Ministrów oraz Ministra Pracy, Płac i Spraw Socjalnych. Chodzi tu o zapewnienie optymalnej elastyczności ustawy, w zależności od sytuacji gospodarczej i społecznej. Wysokość kosztów wykształcenia będzie ustalana przez ministrów, którym podlegają szkoły, w zależności od faktycznie ponoszonych na kształcenie nakładów.

W projekcie ustawy przewidziano, że obowiązek, o którym mowa, powstaje po upływie 6 miesięcy od ukończenia ostatniej nauki, wygasa natomiast po 15 latach od tego terminu. Jest to okres największej aktywności zawodowej i chodzi tu o maksymalne wykorzystanie tej aktywności dla rozwoju kraju. Projekt ustawy nie powoduje wzrostu kosztów związanych z jego realizacją, a wprost przeciwnie, z tego tytułu są przewidziane wpływy do Skarbu Państwa rzędu kilkuset milionów złotych.

W obronie ustawy

Komitet Społeczno-Polityczny Rady Ministrów PRL dokonał niedawno oceny funkcjonowania obowiązującej obecnie ustawy o szkolnictwie wyższym i przyjąty dokument przedstawił do konsultacji społecznej¹⁾. Zepoczątkowana została w ten sposób zapowiedziana wcześniej oficjalna dyskusja nad propozycjami nowelizacji owej ustawy. Oficjalna, bo nieoficjalnie mówi się już o tym od pewnego czasu.

Żądania ustawy, która zaspokoiłaby aspiracje środowiska akademickiego, pojawiły się spontanicznie i masowo na początku roku akademickiego 1980-81. W wielu uczelniach przystąpiono do formułowania postulatów, a później projektów ustawy, zaś ówczesny minister²⁾, realizując jedno z posierpniowych porozumień społecznych, powołał komisję kodyfikacyjną do spraw ustawy o szkolnictwie wyższym, reprezentującą wszystkie zainteresowane strony. W efekcie, zimą 1980-81 powstało równoległe kilka projektów nowej ustawy - jednym z najbardziej zaawansowanych był projekt mojego macierzystego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Większość propozycji zawartych w tych opracowaniach weszła do końcowego tekstu komisji kodyfikacyjnej, do której zresztą zostało dokooptowanych, w marcu 1981, kilku członków komisji W. Brałem udział od samego początku w pracach nad ustawą zarówno w Uniwersytecie Jagiellońskim, jak i w komisji kodyfikacyjnej, o czym wspominać nie tyle dla próżnej chwały, ile dla podkreślenia, iż mimo, że nie jestem prawnikiem, jestem zorientowany w materii, w której zabieram głos, no i, że mam prawo sądzić, iż wiem coś zarówno o duchu samej ustawy, jak i o intencjach tych, którzy projekt jej przygotowali.

Wiosną 1981 projekt ustawy był gotów, przy czym zastrzeżenia i propozycje pewnych odmiennych rozwiązań dołączył doń ówczesny minister, prof. J. Górski. Projekt nie został od razu przekazany Sejmowi. Jesienią nowy ówczesny minister, prof. J. Nawrocki, próbował przekazać projekt z własnymi, drastycznymi tym razem zmianami. Wywołało to gwałtowne protesty środowiska. Wprowadzenie stanu wojennego ucięło, jak sądziliśmy, całą sprawę. Jednakże wiosną 1982 nowy rząd przedstawił ustawę Sejmowi, a ten ją 4 maja 1982 uchwalił. Uchwalony tekst niewiele różni się od tekstu projektu komisji kodyfikacyjnej z wiosny 1981. Co więcej, w uchwalonym tekście nie znalazły się poprawki proponowane przez kolejnych ministrów - ani te drastyczne min. Nawrockiego, ani te względnie łagodniejsze min. Górskiego. Warto też podkreślić, że "ocena", że ustawa została wprowadzona przez rząd i uchwalona przez Sejm w warunkach całkowicie dla tych organów władzy swobodnych, bez żadnych - niemożliwych wówczas - presji, strajków, protestów, żądań; zaś, znów według tekstu "Oceny", uchwalenie ustawy było "demonstracją zaufania rządu do środowisk akademickich".

Myślą przewodnią ustawy jest idea samorządności społeczności akademickiej, w tym samorządu studentckiego, obejmującego całość studentów danej uczelni. Ustawa zapewnia realny udział w zarządzaniu uczelnią wszystkich tworzących tę społeczność grup. Ustanawia nadrzędność organów kolegialnych /senat, rada wydziału/, nad jednoosobowymi /rektor, dziekan/. Rada Główna Nauki i Szkolnictwa Wyższego, pochodząca

¹⁾ "Ocena funkcjonowania ustawy o szkolnictwie wyższym. Stanowisko Komitetu Społeczno-Politycznego Rady Ministrów PRL", Rzeczpospolita nr 4, 1985, 01, 05-06. Ocena została dokonana na posiedzeniu 13 grudnia 1984. Tekst ten będzie nazywany "Ocena", zaś ustawa z 4 maja 1982 o szkolnictwie wyższym - ustawą.

²⁾ "Minister" bez dalszych określeń oznacza w tekście ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki/obecnie nauki i szkolnictwa wyższego/.

obecnie z wyboru, przestała być tylko organem doradczym ministra i zyskała pewne uprawnienia kontrolne i rozstrzygające. Senat i rady wydziałów decydują o istotnych szczegółach pracy uczelni, co daje możliwość rozwiązywania problemów, ustalania programów studiów, programów badań naukowych, etc. wewnątrz szkoły, zgodnie z lokalnymi możliwościami, potrzebami, zwyczajami. Umożliwią to realizowanie pluralizmu, dzięki czemu może być "rozwijana wielość kierunków naukowych i artystycznych przy poszanowaniu odrębności światopoglądowych"*) Przepomnieć należy, iż samorządność nie jest naszym dzisiejszym wymysłem, przeniesieniem, jak sugeruje tekst "Oceny", na teren szkół wyższych instytucji samorządowych w przedsiębiorstwach państwowych. Autonomię miały uniwersytety od samego początku swego istnienia, tzn. od średniowiecza i zawsze był to warunek podstawowy ich prawidłowego funkcjonowania.

Ustawa została uchwalona w maju 1982, jednakże nie oznacza to, iż zaczęła natychmiast działać w pełni. Przepisy wykonawcze ukazywały się stopniowo; statuty poszczególnych uczelni zatwierdzano w lecie 1984; wreszcie szereg przepisów ustawy ograniczono ustawą z 21 lipca 1983**). Wiosną 1984 odbyły się wybory władz uczelnianych. Przez cały ten czas następowała stopniowe przyzwyczajanie się do sytuacji, jaką ustawa stworzyła. Ilość konfliktów pomiędzy ministerstwem i szkołami wyższymi malała z upływem czasu: minister przytoczył ostatnio, chronologicznie, 29 konkretnych przypadków nadużycia - jak to nazwał - postanowień ustawy przez szkoły wyższe /wg ministra, były to głównie demonstracje/ w okresie od 13 października 1982 do 12 grudnia 1984. Wśród tych konfliktów tylko dwa zdarzyły się w ostatnim roku. Po wyborach w uczelniach minister zakwestionował, zgodnie ze swymi ustawowymi uprawnieniami, paru zaledwie wybranych rektorów. Tylko w jednym z tych przypadków powstał spór z uczelnią, w wyniku którego minister odwołał się do swych nadzwyczajnych uprawnień wynikających z ustawy z 1983 roku**). W pozostałych przypadkach, zgodnie z ustawą z roku 1982, uczelnie przeprowadziły ponowne wybory, zatwierdzone przez ministra. Jesienią 1984 wyglądało więc, że sytuacja w środowisku szkół wyższych powoli normalizuje się, obie strony zaczynają się stopniowo darzyć pewnym zaufaniem, zaufaniem opartym, co trzeba podkreślić, na wzajemnych gwarancjach zawartych w ustawie o szkolnictwie wyższym. Fale różnorodnych emocji zaczęły opadać, liczyliśmy, że istniejące jeszcze problemy - na przykład płace, które /liczone w stosunku do średniej krajowej/ uległy dużej obniżce - zostaną niedługo pomyślnie rozwiązane, słowem sądziliśmy, że możemy spokojnie wziąć się do tego, co nas najbardziej cieszy - do naszej właściwej pracy.

Okazało się jednak, że Komitet Społeczno-Polityczny /a może to tylko urzędniczy resortu szkolnictwa wyższego?/ jest innego zdania. Najkrócej sens "Oceny" można streścić tak: rząd chciał z nami /tzn. ze środowiskiem akademickim/ zgody, więc dał nam w prezencie ustawę, jakiej pożądamy, a my, zamiast być zadowolonymi, wykorzystujemy ustawę do legalnego prowadzenia działalności anty. Rząd traktował ustawę jako "swoistą umowę społeczną" /sformułowanie "Oceny"/, a środowisko umowy tej nie dotrzymało. Zatem ustawa się nie sprawdziła i trzeba ją zmienić, czy też raczej - środowisko akademickie się nie sprawdziło i trzeba je ukarać. Jak? - tym razem tak, jak chciało zawsze dotychczas ministerstwo, a nawet jeszcze bardziej.

A więc: zamiast statutów uchwalanych przez poszczególne szkoły wyższe i uzgadnianych z ministrem, statuty nadawane przez nadzorującego ministra. Statuty mogłyby ewentualnie ustalać zasady funkcjono-

*) Ustawa, art.2 ust.3

**) Ustawa z dnia 21 lipca 1983 r. o szczególnej regulacji prawnej w okresie przewycięzania kryzysu społeczno-ekonomicznego.

wania danej uczelni inaczej, niż byłoby to określone w ustawie /!//; 2^o zwiększenie zakresu kontroli aż po uprawnienie ministra do zawieszenia lub odwołania członków ciał kolegialnych, zawieszenia lub rozwiązania całego takiego organu, zawieszenia lub uchylenia jego decyzji, w końcu - zawieszenia działalności dydaktycznej lub wręcz rozwiązania jednostki organizacyjnej szkoły wyższej; 3^o zdecydowana zmiana składu senatów i rad wydziałów, poprzez radykalne zmniejszenie liczby przedstawicieli młodszych pracowników i studentów, w tym usunięcie wybieralnych reprezentantów wszystkich studentów /samorządu studenckiego/, a wprowadzenie na ich miejsce przedstawicieli organizacji młodzieżowych; 4^o procedury powoływania rektorów, dziekanów, etc. sprowadzające się do mniej lub bardziej bezpośredniego mianowania władz uczelni przez ministra; 5^o zwiększenie kompetencji rektora wobec senatu i dziekana wobec rady wydziału; 6^o zasadnicza zmiana charakteru samorządu studenckiego; 7^o możliwość skreślenia studentów oraz usuwania z pracy nauczycieli akademickich jednoosobową decyzją rektora lub ministra, za przewiny typu "szczególnie szkodliwości społecznej", "rażącego naruszenia zasad współżycia społecznego" i za "działalność niezgodną z zadaniami i istotą uczelni socjalistycznej". Skreślenie lub zwolnienie z pracy "następowałyby wówczas bez przeprowadzania postępowania dyscyplinarnego, a jedynie po przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego". Dodajmy dla wyjaśnienia, że odpowiadałoby to np. w postępowaniu karnym rezygnacji z rozprawy sądowej na rzecz wykonania propozycji prokuratora. Co więcej, określenie, jakie konkretnie czyny są owymi szkodliwościami, naruszeniami czy niezgodnościami, pozostałoby w swobodnym uznaniu władz, więc w praktyce - administracji, nieraz niższego szczebla; 8^o "Ograniczenie do minimum lub wręcz całkowita rezygnacja z zatrudniania nauczycieli akademickich poprzez ich mianowanie na poszczególne stanowiska na stałe. Mianowanie następowałoby wówczas na okres zamknięty, co najwyżej pięcioletni" /wszystkie cytaty z "Oceny"/ - dopowiedzmy dla niezorientowanego czytelnika, iż oznaczałoby to, że po upływie takiego okresu zamkniętego nie trzeba by było niepożądanego pracownika zwalniać z pracy, ze wszystkimi związanymi z tym niewygodami dla administracji: wystarczyłoby proste nieodnowienie mianowania. Proponowane są jeszcze inne zmiany, nie tak istotne w porównaniu z wymienionymi.

Co można o tym wszystkim powiedzieć? O samych propozycjach zmian tyle, że gdyby rzeczywiście zostały wprowadzone, nie mielibyśmy do czynienia z nowelizacją istniejącej ustawy, zachowującą jej ducha i wprowadzającą konieczne poprawki, lecz z zupełnie nową ustawą. Byłaby to najbardziej represyjna ustawa o szkolnictwie wyższym, jaka kiedykolwiek obowiązywała w Polsce. Porównać z nią dałoby się jedynie praktyki z okresu zwanego stalinowskim, ale właśnie tylko praktyki /zwane skądinąd "błędami i wypaczeniami"/, a nie formalny zapis prawny z tamtego okresu.

Przyjrzyjmy się z kolei krytycznie poszczególnym zarzutom i związanym z nimi propozycjom zmian. Zaczniemy od zarzutów drugorzędnych, na które jednak trzeba odpowiedzieć. A więc pisze się w "Ocenie", że "szereg przepisów po prostu nie zdało egzaminu" oraz; że "w ustawie jest szereg luk prawnych, co niekorzystnie odbija się na życiu uczelni". Być może, ale trudno na ten temat cokolwiek powiedzieć bez wskazania, o jakie przepisy konkretnie chodzi. Ponadto, dlaczego ma to być zarzut skierowany przeciwko środowisku akademickiemu? I czy z tego powodu należy do środowisko karać? Bo proponowany tryb zmiany ustawy ma wszelkie cechy kary, a i sama "Ocena" taką sugestią impliците zawiera ^{*)}. Jeśli rzeczywiście w obowiązującym prawie są luki i

^{*)} O tym, że proponowane zmiany mają charakter i cel represyjny, świadczy tekst "Oceny" mówiący o "aktualnych warunkach społeczno-politycznych" i o możliwości "rezygnacji z niektórych proponowanych zmian" po zmianie owych warunków.

niedogodności - a żadna ustawa nie jest doskonała - to zmiany powinno się wprowadzać z rozwagą, po dokładnej analizie i nie w atmosferze tworzącej napięcia. Właściwą procedurą byłoby chyba odczekanie przynajmniej do końca ustawowej kadencji obecnych władz akademickich, dla zebrania większej ilości doświadczeń, a następnie powołanie odpowiedniej komisji kodyfikacyjnej, która przygotowałaby projekty całego pakietu ustaw regulujących różne aspekty całosci polskiej nauki we wzajemnym powiązaniu. Konkretnie już projekty winny zostać następnie poddane pod ogólnorodowiskową dyskusję. Uniknięto by w ten sposób z jednej strony pośpiechu i związanych z nim niebezpieczeństw, w szczególności wprowadzenia nieprzemyślanych postanowień, które trzeba by znów zmieniać, z drugiej strony - kreowania nowych, niepotrzebnych napięć społecznych, utrudniających proces normalizacji.

"Ocena" obwinia ustawę o "osłabienie aktywności intelektualnej szkół wyższych" we wszystkich dziedzinach ich działalności. Zarzut taki jest absurdalny. Po pierwsze, jeśli by to było prawdą, nie powinno nic podobnego wystąpić np. w placówkach PAN; działaniu ustawy niepodlegających. Zaś o tym, że "nauka polska znalazła się w impasie, na który złożyły się trudności natury materialnej i moralnej" mówił niedawno^{*)} prof. Kostrzewski, prezes PAN, widząc przyczyny owego impasu w szeregu czynników działających od kilku lat. Po drugie, ustawa w ogóle działa za krótko, aby jej efekty w sferze nauki zdążyły się przejawiać. Wystarczy sobie uświadomić, że doktorat lub habilitację robi się minimum trzy - pięć lat. Jak więc ustawa, funkcjonująca - i to nie w pełni - dopiero trzeci rok, mogła wpłynąć na "spadek liczby i poziomu doktoratów i habilitacji"?

"Ocena" atakuje ideę wyborów w szkołach wyższych twierdząc między innymi, że wybory przeszkadzają w normalnej działalności uczelni. Zapewne jest w tym jakaś racja, tylko, że dotyczy ona każdego wyborów, nie tylko w szkołach wyższych. Nikt jednak nie zamierza chyba z tego powodu nawoływać do powstrzymywania się od udziału w wyborach?

Według "Oceny" nadmierna liczebność ciał kolegialnych, spowodowana obecnością w nich dużej liczby studentów i młodszych pracowników, utrudnia pracę tych ciał. Jeśli rzeczywiście gdzieś tak jest, to sądzę, że jest to spowodowane raczej brakiem przyzwyczajenia niż organiczną wadą takiego rozwiązania. W Uniwersytecie Jagiellońskim już około 10 lat temu wprowadzono liczną - do 33% - reprezentację studentów w senacie i w radach wydziałów. Początkowo rzeczywiście wywołało to protesty ze strony profesury. Okazało się jednak, że system ten ma swoje dobre strony i dziś Uniwersytet traktuje obecność licznych przedstawicieli studentów i naszych młodszych kolegów jako rzecz naturalną. Możemy więc twierdzić, że realny udział młodszych generacji w zarządzaniu uczelnią zdaje egzamin, jeśli pozwolić mu działać jakiś czas.

Najpoważniejszym z zarzutów "Oceny" jest ten, że środowisko akademickie nie dotrzymało owej "swoistaj umowy społecznej", jaką w intencjach rządu miało być wprowadzenie w 1982 roku ustawy o szkolnictwie wyższym. Pomińmy już kwestię, że prawa nie wolno traktować tylko jako umowy społecznej - zbyt daleko by nas to zaprowadziło - zaś sama ustawa była nie tyle umową społeczną, ile realizacją wcześniejszych umów społecznych, przez władze państwowe i polityczne podpisanych. Jak owo niedotrzymanie umowy ma wyglądać? Według "Oceny" i według wypowiedzi ministra, miało to mieć wyraz w wyniku ostatnich wyborów władz uczelni, oraz w przypadkach nadużywania postanowień ustawy, o czym już wcześniej pisałem. Zauważmy więc, że, jak to już pisałem, na tle wyborów powstał tylko jeden konflikt. Zarzuca się też, że do organów samorządu studenckiego byli wybierani działacze NZS - obecnie działacze tacy są na ewentualnie ostatnim roku studiów, więc problem ten /jeśli jest to problem/ upadnie niedługo sam przez się. Pisałem

*) /PAP/ - Dziennik Polski nr 275, 1984-11-21.

też już, że ilość owych "przypadków nadużywania ustawy" wyraźnie maleje w czasie. Co więcej, nie jestem pewien, czy ustawa w tych przypadkach rzeczywiście oddziałuje ujemnie. Minister argumentował, iż ponieważ np. wiec w Poznaniu miał przebieg spokojny, to rektor nie mógł tego wiecu rozwiązać - i wnioskuje, że to wina ustawy. Jeśli wiec miał przebieg spokojny, to chyba dobrze, a nie źle? Wreszcie, trzeba też sobie zadać pytanie, w jakiej mierze owe "nadużycia ustawy" były rzeczywiście skierowane przeciwko polityce rządu w całości, a w jakiej były spowodowane jakimiś jednostkowymi niefortunnymi postępkami administracji. Bo przecież administracja też nie jest bez winy. Na listę zarzutów ministra i "Oceny" środowisko mogłoby odpowiedzieć podobną listą zarzutów skierowanych w przeciwną stronę. Minister musiał interweniować, zgodnie z ustawą, wobec nieprawidłowości w uchwalanych przez szkoły wyższe statutach - podobnie Rada Główna musiała interweniować, również zgodnie z ustawą, wobec nieprawidłowości w aktach prawnych przygotowywanych przez ministerstwo. Nie sądzę, aby fakty te świadczyły przeciwko czy to środowisku, czy to pracownikom ministerstwa, czy tym bardziej przeciwko ustawie. Sądzę natomiast, że świadczy to na korzyść ustawy, iż stwarza ona legalne i normalne mechanizmy wykrywania i naprawy zdarzających się zawsze błędów. Zapewne zdarzały się wypadki nadużywania ustawy przez studentów lub pracowników wyższych uczelni. Ale zdarzały się też przypadki postępowania niezgodnego z ustawą przez administrację, za przypomnę, tytułem przykładu, usunięcie z funkcji prorektorów Akademii Medycznej w Krakowie w 1983 roku. Piszę o tym wszystkim nie dlatego, abym sądził, iż warto sobie wzajemnie wypominać różne grzechy, lecz by podkreślić, że przystosowanie się do sytuacji prawnej i społecznej stworzonej przez ustawę jest procesem stopniowym, wymagającym czasu, oraz wyrozumiałości, cierpliwości i dobrej woli obu stron. Bo faktem jest też, że ilość zachowań negatywnych po obu stronach wyraźnie malała w czasie.

Podkreśliły wreszcie, że w samym tekście "Oceny" wyraźnie przypisuje się zachowania negatywne jedynie niektórym nauczycielom akademickim, czy też pewnym uczelniom, stwierdzając jednocześnie, że "ustawa wywarła decydujący wpływ na normalizowanie się sytuacji w większości uczelni". W świetle tych stwierdzeń "Oceny", oraz przeprowadzonej wyżej dyskusji, jest zupełnie niezrozumiałe do jakiego celu dążą autorzy proponowanych w "Ocenie" zmian. Jeśli sytuacja normalizuje się dzięki ustawie, to co będzie skutkiem radykalnej zmiany ustawy?

Wydaje się, że prawdziwa, choć nie sformułowana przyczyna chęci zmiany ustawy leży w czym innym - w wygodzie administracji. Pisałem wyżej o podejmowanych przez kolejnych ministrów próbach wprowadzenia własnych zmian do projektu ustawy. Tekst "Oceny" - pisany zapewne, przynajmniej w części szczegółowej, przez urzędników, bo taka jest zwykła procedura - wygląda na kolejną próbę modyfikacji ustawy dla własnych partykularnych celów. Świadczyłoby za tą hipotezą niespójność pomiędzy częścią ogólną "Oceny", gdzie mówi się o "niektórych" ujemnych zjawiskach, a częścią szczegółową, proponującą zmiany, które przez wszystkie uczelnie zostaną potraktowane jako represje, a które dążą do pełnej swobody niekontrolowanego postępowania administracji. Łatwiej jest oczywiście zarządzać /do czasu.../ bez zagwarantowanej prawie konieczności liczenia się ze zdaniem zarządzanych. Zmiana ustawy, i to tak radykalna, byłaby więc na rękę administracji. Czy jednak byłaby korzystna w szerszym kontekście? Interesy rządu jako całości, jak i interesy całego społeczeństwa, nie muszą być tożsame z interesami poszczególnych resortów. Zmiana ustawy, zwłaszcza tak drastyczna, jak proponowana w "Ocenie", musi bowiem pociągać za sobą szereg skutków, niekoniecznie takich, jak zakładane zapewne przez autorów "Oceny". Umożliwienie administracji wywierania niekontrolowanej społecznie presji na środowisko naukowe odcina dopływ obiektywnej informacji do kierownictwa kraju - skutki takiego stanu rzeczy

w niedawnej przeszłości odczuwamy do dziś. Łatwo też przewidzieć, że normalizacja sytuacji w szkolnictwie wyższym ulegnie zahamowaniu, albo nawet cofnięciu. Można się spodziewać rezygnacji z pełnionych obecnie stanowisk kierowniczych w uczelniach i niechęci do obejmowania takich stanowisk w trybie nieakceptowanym przez środowisko. To z kolei doprowadzi do znacznego spadku autorytatu osób mi nowanych na te stanowiska. Stworzy się wreszcie stałe ognisko niezadowolonia i powodów podejmowania działań zmierzających do zmiany powstałego stanu prawnego w szkołach wyższych.

W "Ocenie" pisze się, że: "Pewna część środowisk szkół wyższych traktuje ustawę jako swoisty symbol, gwarancję samorządności oraz dowód wiarygodności władz państwowych". To prawda. Ustawa dotychczas w ten właśnie sposób funkcjonowała. Powtarzam więc jeszcze raz: jaki zatem cel przyświeca zamiarom zmiany tej ustawy?

Winienem jeszcze wyjaśnienie, dlaczego uważam, że obrona ustawy o szkolnictwie wyższym, dotycząca bezpośrednio jedynie środowisk akademickich, może zainteresować szersze grono czytelników "T.P."? Sądzę, że nasza ustawa jest swoistym symbolem i w szerszym kontekście. Władze państwowe i polityczne deklarowały nieraz, że sierpniowa odnowa jest kontynuowana, że posierpniowe umowy społeczne są obecnie realizowane itp. Ustawa o szkolnictwie wyższym jest jednym z paru zaledwie istniejących w postaci zapisu prawnego śladów owych posierpniowych umów. Czy ślad ten ma stać się już tylko faktem historycznym, ma zniknąć z dzisiejszego życia społecznego i ma zostać zastąpiony swym przeciwieństwem? Odpowiedź na to pytanie jest ważna nie tylko dla szkół wyższych.

ANDRZEJ FULIMSKI

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"/

JAWNOŚĆ

Rozmowa z Anką Kowalską, członkiem warszawskiego Komitetu Obywatelskiego Przeciw Przemocy

- Jak doszło do powstania Komitetu? Czy o jego utworzeniu zdecydowało jakieś konkretne wydarzenie?

- Oczywiście, że bezpośredni wpływ na naszą decyzję miało zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki. Uświadomiliśmy sobie, że stała się rzecz, do której mogło nie dojść, że może mogliśmy tej zbrodni zapobiec. Wiedzieliśmy przecież o wielu morderstwach, o podrzucaniu zwłok, o poprzednich porwanach i o umarzaniu śledztw w tych sprawach, ale nasza wiedza nie owocowała konkretnymi, zorganizowanymi działaniami, nie uruchamiała samoobronnych, czy wręcz obronnych akcji. I właśnie dlatego nie jesteśmy bez winy; my, to znaczy całe społeczeństwo. Bardzo dobitnie stwierdził to w wywiadzie Adam Michnik i ja się z nim całkowicie zgadzam.

- O tej winie powiedział Michnik: "Nikommu z nas nie starczyło wyobraźni na to, żeby zobaczyć już w tym tekście - chodziło o artykuł

Urbana rozpoczynający nagonkę na księdza Jerzego - zapowiedź mordu. Myślę, że gdyby miał wtedy więcej wyobraźni i publicznie oskarżyć Urbana, że szczuje do morderstwa, to może bym dostał wyrok za obrazę ministra, ale może ksiądz Jerzy by żył..."

- Rzeczywiście zabrakło nam tej wyobraźni. A przecież jeżeli zaczynają się bezpodstawne napaści, prasowa i telewizyjna nagonka na konkretnych ludzi, to powinniśmy już wiedzieć, że to nie są żarty, że taka kampania nienawiści stwęża atmosferę, w której pole do popisu mają rzezimieszki.

- Wielu ludziom Wasza inicjatywa kojarzy się z korowskim modelem działania, a ściślej z działaniem w okresie zanim jeszcze KOR przemienił się w KSS KOR.

- Jako członek rozwiązanego KOR-u i obecnego Komitetu nie odcinam się od poczucia pewnej ciągłości, ale byłabym ostrożna w porównywaniu tych dwóch komitetów. Podobieństwo widoczne jest w samej nazwie i zasadzie jawności działania, ale i w tym wypadku różnice są wyraźne. Teraz chodzi bowiem nie o obronę zwalnianych z pracy, bitych, skazywanych na długoletnie więzienie, ale przede wszystkim o cały azeręg "niewykrytych" morderstw, porwań, szczególnie drastycznych aktów bezprawia. W każdym razie Komitet w Warszawie z góry ograniczył w ten sposób swoje cele.

Po drugie, KOR zaczynał w pojedynkę, można powiedzieć, w całkowitych ciemnościach. Nie wiadomo było jeszcze, jak nawoływać do solidarności, jak naszą inicjatywę przyjmie społeczeństwo i władza. Początkowo chodziło jedynie o to, żeby obywatel X w Warszawie, Krakowie i gdziekolwiek indziej rozumiał, że choć bity jest czy wsadzany do więzienia w tej chwili robotnik z Radomia, Ursusa czy Bydgoszczy, to właśnie następną ofiarą może być tenże obywatel X, i że on sam, aby nie podstawić własnego grzbietu pod pałkę, musi się bronić już teraz, broniąc tamtego robotnika. Chodziło o to, żeby ludzie zaczęli myśleć tymi kategoriami, które potem w okresie "Solidarności" znajdowały wyraz na każdym murze: "dzisiaj Naroźniak - jutro ty". W ten sposób rozdziły się prymitywne podstawy solidarności. Bez nich nie można by mówić o konkretnej pomocy.

Naszą zaskugą w tym przecieraniu dróg było to, że eksperyment zaczęliśmy na sobie samych. Towarzyszyła nam jednak myśl, że pójdą za nami inni. I nie pomyliliśmy się, bo ludzie chcą mieć po co żyć, zwykła egzystencja, wegetacja jest im z natury wroga - zabija w ogólę chęć życia, poczucie jego sensowności. KOR był więc próbą uświadczenia społeczeństwu, że jedyną formą oporu w tych warunkach jest solidarność, że stanowi ona prawdziwą wartość i znaczy tyle, co samoobrona.

Tym bardziej rzuca się w oczy różnica między sytuacją korowską a dzisiejszą. Dzisiaj ludzi nie trzeba uczyć solidarności, wystarczy odwołać się do ich pełnej świadomości. Oni już wiedzą, co to jest solidarność, i jaka to siła... Siła pozornie rozbita prawami stanu wojennego, wysiłkami władzy, która sądzi, że można zdelegalizować także poczucie solidarności. A ja myślę, że jest to wręcz niemożliwe.

- Tym bardziej, że to poczucie zaowocowało już pojawieniem się nowych organizacyjnych form, przystosowanych do zmienionych, represyjnych warunków.

- Władze mówią oficjalnie, że wszystkie te formy to "margines", jakieś mało znaczące nielegalne podziemia, nielegalne struktury, które się policyjnie ściga i które policyjnie można zlikwidować. Nieustannie odbywają się więc rewizje, zatrzymania, przesłuchania. Ale działa przecież potężny, nieoficjalny obieg wydawniczy: setki pism, wydawnictwa książkowe, zna się dziesiątki pseudonimów ludzi bardzo

ważnych dla pozaoficjalnego nurtu publicystycznego. Działają rozmaite tajne grupy typu Komitet Helsiński czy Komitet Obrony Praworządności /z pismem "Praworządność"/, które osiągają bardzo dobre wyniki... O całym tym "nielegalnym", utajonym nurcie władze mówią pozornie pobłażliwie: margines...

- Rzeczywiście, "margines" jest bardzo szeroki...

- Poza tym pojawiają się rozmaite półoficjalne działania w obrębie wielu środowisk /głównie naukowych i kulturotwórczych/, o których mówi się, że są "marginalne", "niechętne", "nieprzychylnie". Ale to nie jest jeszcze cała prawda o polskim społeczeństwie. Przeżyło ono ostatnio wstrząs wywołany śmiercią księdza Jerzego, osoby obdarzonej olbrzymim autorytetem moralnym. Nie pozostanie to bez wpływu na ludzkie postawy; zresztą już widać, że nie pozostało.

Czy to przypadek, że w tym samym momencie pojawiają się - choć się wcale z sobą nie porozumiewały - rozmaite grupy ludzi w różnych regionach Polski, którzy zapowiadają jawną walkę ze zbrodniami na praworządności i przedstawiają się imieniem i nazwiskiem? Nie wiadomo, jak zostaną potraktowane. Nie stanowią podziemia. Wzywają jedynie do przestrzegania praworządności, chcą bestialskie akty terroru ujawniać, bo to wielkiej wagi społeczna samoobrona. Nie chcemy bać się śmierci w komendach, w studzienkach, zalewach, bunkrach. Społeczeństwo nie może być traktowane jako przedmiot "zastraszania". Jeśli w gabinetach MSW zastanawiano się, czy najpierw porwać Małkowskiego a potem Popiełuszkę, czy też może odwrotnie, albo jaki rodzaj śmierci wybrać dla księdza Jerzego - zakopać żywcem, wypchnąć z pociągu, czy spalić w roztraskanym samochodzie - to potem nie da się już spać spokojnie.

Wie pan, za wszelką cenę usiłujemy wierzyć, że po "tamtej stronie" że nawet w "resorcie" są ludzie przywoici... albo tacy, którzy by chcieli być przywoici.

No to my im pomagamy. Może się nawet przydamy w przygotowaniu warunków sprzyjających porozumieniu, o ile "porozumienie", o którym tyle mówi władza, jest w ogóle możliwe. Ja to właściwie mówię bez większych nadziei. "Większych" - to w ogóle za dużo powiedziane. Ale jak bez nadziei w ogóle żyć?

- Jakie porozumienie jest możliwe, przekonaliśmy się całkiem niedawno. Społeczeństwo zachystywało się szesnastomiesięczną porcją wolności i papierkami podpisanymi przez władze, a te z kolei zbierały siły, aby się z nim rozprawić. Nie można popełnić drugi raz tego samego błędu. Podpis przedstawicieli tej władzy nie jest żadną gwarancją i o tym powinniśmy wiedzieć od dawna. Słowo "porozumienie" widziałbym raczej opatrzone cudzysłowem. Trzeba po prostu pamiętać, z jakimi ludźmi mamy do czynienia.

- Trzeba po prostu przyznać, że na razie mamy do czynienia z naszymi nieporozumieniami.

Jednym z większych nieporozumień jest strach przed organami porządkowymi, działającymi zupełnie przeciwnie do formalnie stawianych przed nimi celów. Przecież atmosferę panującą w powołanym do strzeżenia ładu resorcie nie można określić inaczej niż jako kryminogenną.

Wystarczyło bacznie śledzić proces, żeby widzieć, iż sam już rodzaj wyobraźni, słownictwa, jakie reprezentowali oskarżeni, linia obrony, jaką oskarżeni uznali za stosowne przyjąć - wskazuje na sposób, w jaki wychowywane są kadry resortu. Funkcjonariusze MSW traktują człowieka jak przedmiot, działając z poczuciem kompletnej bezkarności. Wykonywali swoją "akcję" jak mali chłopcy /rozumie pan: "Mały zbrodniarz", "Mały budowniczy"/: niesprawne samochody, Chrostowski ucieka, no to cześć, jakieś gubione orzełki, rozpytywania o drogę, lekceważenie zapisywanego przez kolegów z Bydgoszczy numeru samochodu, itd. Nikt, kto się boi wytropienia, tak nie postępuje. A prze-

cież nie byli szaleńcami, ani niedorostkami kierowanymi lekkomyślnością. Potem na sali sądowej jedno wielkie poczucie krzywdy, że w ich wypadku bezkarność okazała się mirażem. Najoczywieściej w świecie mieli powody sądzić, że nic im nie grozi.

Jeżeli społeczeństwo tkwi w łapach ludzi wychowywanych w taki sposób, ludzi, którzy z taką łatwością łamią prawo nie licząc się z żadnymi konsekwencjami, to gdzie tu miejsce na porozumienie? Chyba w cieniu pałki i powroza.

- Proces był nie tylko potwierdzeniem smutnej prawdy o obliczu resortu spraw wewnętrznych, ale i dyspozycyjności peerelowskiego sądownictwa. Za pokaz "socjalistycznej praworządności" można bowiem uznać sposób prowadzenia sprawy przez sędziego, a przede wszystkim przez prokuratora. Z jednej strony pały oskarżenia pod adresem funkcjonariuszy MSW, z drugiej zaś, jakby dla stworzenia przeciwwagi, pod adresem zamordowanego i całego Kościoła. Sugerowano wręcz, że po prostu spotkały się dwie ekstremy. Mimowoli przypomina się sposób, w jaki tłumaczono "konieczność wprowadzenia stanu wojennego": gdyby nie drastyczne decyzje - wyróżzałaby nas "Solidarność".

Chodziło więc między innymi o zamazanie obrazu, który w tym wypadku był po prostu czarno-biały. Nic dziwnego, że cenzura wycięła z wystąpienia mecenasa Olszewskiego między innymi tak oczywistą przeciwieź prawdę, że "nie można stawiać znaku równości pomiędzy tym, którego narzędziem było słowo, a tymi, których narzędziem była pętla i pałka".

W czasie procesu można było dostrzec jeszcze jedną sprawę, mianowicie, wyraźną stronniczość - na rzecz oskarżonych! - samego prokuratora. Człowiek, którego zadaniem było formułowanie oskarżenia momentami wyraźnie przejmował rolę obrońcy oskarżonych.

- Rzeczywiście widoczna była identyfikacja oskarżyciela z oskarżonymi - całkowite zrozumienie dla motywów ich zbrodni - pomimo, że - co brzmi paradoksalnie - żądał dla jednego z nich kary śmierci, a dla innych po 25 lat.

W tym miejscu warto może wspomnieć, że jesteśmy przeciwni karze śmierci i w razie ogłoszenia takiego wyroku dla Piotrowskiego byliśmy - jako Komitet - zdecydowani zwrócić się do Rady Państwa o zastosowanie wobec niego aktu łaski. Przygotowywaliśmy dokument wyjaśniający społeczeństwu nasze stanowisko. Byłoby ono bardzo niepopularne, jak sądzę. Ale pomijając fakt, że w ogóle jesteśmy przeciwni stosowaniu tej kary, chodziło o to, iż tu byłaby ona tylko odwetem na jednym człowieku, gdy inni winni mordowania i zachęty do mordu podlegali nadal ochronie. Po drugie, co się z poprzednim wiąże: oskarżeni przeciwieź nie mieli obrońców! Oskarżonych należało bronić, tak jak się broni wszystkich przestępców, to znaczy, badając także środowisko w jakim się wychowali, jego presję na ich osobowość, charakter, poglądy, kodeks moralny. W rezultacie: wpływ na ich czyn.

Dlaczego obrońcy nie wytoczyli tej najcięższej armaty? Bo musieli by krzyczeć głośno, że w rodzinym /i rodzinnym wręcz!/ dla oskarżonych resorcie w określony sposób działa się i kształci kadry, kształci ludzi. Że operuje się w nim na codzien bandyckim slangiem. "Akcja zastraszania", "uprowadzenie", "porwanie", "szantaż", "rozprawie się!", "podać obróbcę" - to przeciwieź słowa wyjęte ze slangu gangsterów i terrorystów. Trzeba go uważać za normalny, żeby nim mówić na ławie oskarżonych czy przed pulpitem świadków.

Język to w dużym stopniu człowiek; człowiek przejawia się w języku i każde środowisko posiada swój język. Oskarżeni /i świadkowie/ używając na sali sądowej języka resortu, oddali w ten sposób codzieną atmosferę panującą w MSW - powtórzmy raz jeszcze - atmosferę kryminogenną.

Żaden z oskarżonych nie zdziwił się nawet, że "góra" akceptuje ich "specjalne zadanie" będące po prostu planem ohydneho mordu. Inny-

mi słowy uważali, że ich zwierzchnicy istotnie mogą taki mord popierać. Znali ich z codziennych porad, odpraw, rozmawiali z nimi wspólnym językiem... W rezultacie nikt z nich nie odmówił udziału w zbrodni. Teraz mówią, że wykonywali rozkaz.

- Tak samo tłumaczyli się zbrodniarze w Norymberdze. Powróćmy jednak do Waszej inicjatywy. Komitety powstały również w innych miastach. W jaki sposób organizujecie swoją pracę? Jakie napotykalie trudności?

- Na początku warto podkreślić, że komitety tego rodzaju nie mogłyby pracować, gdyby nie istnienie szeroko rozumianego podziemia. W społeczeństwie wykopyły się i od dawna działają rozmaite środowiska, które na swój sposób walczą z bezprawiem. Mamy nadzieję, że będziemy mogli się o nie opierać.

A co do komitetów w różnych miastach. Każdy z nich będąc adresem informacji o przypadkach łamania prawa powinien spełniać rolę pewnego rodzaju centrali na swoim terenie. Powinien owe informacje gromadzić, kompletować i dokładnie sprawdzać, żeby nie okazały się zwyczajną plotką lub nawet prowokacją. Jest to praca bardzo czasochłonna i wymaga zaangażowania wielu osób, również spoza komitetu, gdyż często nasz bezpośredni udział, szczególnie w początkowej fazie zbierania materiałów dowodowych mógłby utrudnić dotarcie do niektórych świadków i informacji dotyczących danej sprawy. Najważniejsze jednak, że ludzie sami przychodzą do nas z informacjami, i to z różnych stron Polski, a to oznacza, iż zostaliśmy już w jakiś sposób zaakceptowani i czegoś się od nas oczekuje.

Stykamy się z przestępstwami zupełnie świeżej daty, są też sprawy nieco starsze jak na przykład zastrzelenie przez milicjanta przed ponad chyba rakiem rolnika /nazwiskiem Kulka/, ojca wielodzietnej rodziny. Mamy wciąż do czynienia z niewyjaśnionymi a umorzonymi przez prokuraturę śledztwami o morderstwa - to najczęstsze zjawisko. Niestety, nie wszystkie z nich można wznowić, czasami jest na to zbyt późno. Staramy się więc choćby o ich ujawnienie. Po wydaniu dokumentów dotyczących procesu będziemy również wydawać dokumenty traktujące właśnie o takich sprawach.

W pozostałych komitetach /Kraków, Szczecin, Toruń, Wałbrzych, Wrocław/ sytuacja jest, jak sądzę, a trochę wiem, podobna. W ich skład wchodzi ludzie z rozmaitych środowisk. Na przykład podpisy pod wnioskiem o rejestrację Komitetu toruńskiego - który się jeszcze ostatecznie nie uformował - złożyło ponad 20 osób, w większości uniwersyteccy pracownicy naukowcy /także profesorowie/. Oczywiście nie jest wykluczone, że w niektórych sprawach komitety będą występować wspólnie.

Brakuje niezastąpionych przecież w tego rodzaju działalności adwokatów. Bynajmniej nie dlatego, że tak niewielu z nich nam pomaga, ale ponieważ tak duża jest ilość spraw. To także świadczy o masowości zjawiska, o skali bezprawia.

Bardzo ważny jest fakt, że komitety występują imiennie, to znaczy, biorą na siebie odpowiedzialność za prawdziwość posiadanych informacji, a zatem mają prawo zgłaszania ich władzom.

Trudno jest panu Urbanowi czy Remowi oświadczyć, że Anka Kowalska czy Jan Józef Lipski przebywają właśnie na leczeniu w Tworkach, co łatwo mogłyby publicznie zeznać o grupie anonimowej. Zresztą przed paru miesiącami minister Urban zacytował na konferencji dziennikarskiej sfałszowany, naszpikowany inwektywami fragment "komunikatu komitetu szczecińskiego", aby odsłonić jego "prawdziwy poziom"; sygnatariusze tego komunikatu dysponując odpowiednimi dokumentami oddali sprawę o zniesławienie do sądu. Sąd sprawę oddalił, ale to już inna zabawa w praworządność.

Podobnie rzecz się ma z prokuratorem, który nie odpowie na anonimowe pismo ze względów zrozumiałych. Nawet gdyby chciał, nie wie ko-

mu. W naszym przypadku jest odwrotnie: gdyby chciał postępować prawidłownie, powinien zainteresować się podpisanymi imiennie informacjami o łamiących prawo funkcjonariuszach MO i SB, wpływającymi do niego bezpośrednio. Umarzanych spraw o przestępstwa bardzo drastyczne, o których popełnienie podejrzani są ci funkcjonariusze, jest, jak wspomniałam, bardzo dużo. Wkrótce może dojść do tego, że jeśli sam trup nie powie, kto jest mordercą, to śledztwo będzie umarzone. Tego się boję i temu chcę się przeciwstawiać.

- Jawne działanie w obronie praworządności sprawdziło się w znacznym stopniu w czasach korowskich, ale obecna sytuacja różni się zasadniczo od tamtej. Mamy do czynienia nie tylko z innym społeczeństwem, inna jest także polityka władz. Jawność ma swoje złe i dobre strony. Silnie oddziałuje na społeczeństwo, a także na Zachód, który posiada przecież duże możliwości nacisku na władze PRL. Z drugiej jednak strony można powiedzieć, że jawne grupy jakby same wystawiają się pod cios, który może się dla nich okazać druzgocący. Czy nie odbawiacie się brutalnych posunięć władz uniemożliwiających Wam prowadzenie dalszej działalności?

- "Podniesiona przyłbica" aprawdziła się w czasach KOR-u, mówiliśmy już o tym. Teraz jesteśmy na początku nowej drogi, dopiero zaczynamy; sama po prostu nie wiem, dokąd nas ona zaprowadzi. Od sporej pracy jesteśmy już zwolnieni - podziemie, gazety i pisma istnieją i działają - natomiast, być może, nie jesteśmy zwolnieni od jakiegoś nowego eksperymentu na sobie samych w nowej a nieznannej sytuacji. Frasyniuk, Lis i Michnik znaleźli się w areszcie po spotkaniu, na które jawnie się umawiali.

Czy władze, gdy tylko ucichną reakcje wywołane procesem morderców księdza Popiełuszki, ostro się zabiorą do takich jak my? Poufnie panu powiem, że tak myślę.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał BRUNO

/Warszawa, luty 1985/

Między szleństwem a śmiercią

1.

"A może to jakieś inne ościenne mocarstwo podniosło miecz nad tym krajem z przetrąconym kręgosłupem, nad tym krajem, który będzie długo chorować i albo w końcu wyżyje jako cherlak, albo umrze na zawsze i zostanie pochowany na wielkim cmentarzystku umarłych narodów".

Śmierć na dobre już zadomowiła się w polskiej literaturze: śmierć kraju, śmierć narodu stała się istotną treścią naszego pisarstwa, jego przeczuć i wyobrażeń. Tak jest ostatnio w "Rozmowach polskich" Jarosława Marka Rymkiewicza, tak też jest w "Rzece podziemnej, podziemnych ptakach" Tadeusza Konwickiego, z której to powieści wyjąłem powyższy cytat. Stała się więc nasza proza najnowsza rodzajem rozważań o możliwej śmierci narodu polskiego. Oczywiście - nie dotyczy to całej literatury: takie uogólnienie, przynajmniej na razie, dalekie by było od prawdy. Jest wszakże faktem, iż problem unicestwienia narodu pojawia się już od dłuższego czasu - zwłaszcza w młodej poezji, w wierszach Antoniego Pawlaka, Jana Polkowskiego - po wprowadzeniu zaś stanu wojennego jego obecność stała się jeszcze dobitniej widoczna.

Historia żywi się trupami narodów. "Tak, tak, wam się wydaje, że jesteście pępkiem świata - zauważyła w powieści Konwickiego zagranicz-

ny dziennikarz. /.../Wam się wydaje, że świat padnie przed wami na kolana i przez kilkadziesiąt lat będzie podziwiał waszą piękność, wasz rozum i waszą odwagę. Wy jesteście jak dzieci. Łakniecie podziwu, oklasków prezentów! A tu już ekspiruje wasz czas. Odegraliście swoje jasełka i kurtyna spadnie za miesiąc albo za trzy miesiące. Pojawi się nowa Polska, która będzie się nazywać nie Polska, pojawi się w Południowej Ameryce, w Afryce, albo w Azji i ja tam zaraz pomknę z nowym ładunkiem sympatii, serdeczności i obietnic do nowej nie Polski, która będzie się nazywać Salvador, Ghana lub Kampucza! Świat jest przepełniony nieszczęściami, zbrodniami - czas, byśmy sobie uświadomili, że los nasz nie jest losem wyjątkowym, że jesteśmy tylko jednym z wielu ognisk dziejącej się nieustannie zagłady.

Ale jednocześnie ten sam dziennikarz powie też i coś takiego: "To nieprawda. Ja stąd nie wyjadę. Będę się męczył może krótko a może bardzo długo. Będę tu siedział bez sensu, tak jak siedziałbym gdzie indziej bez sensu. To jest kraj wariatów./.../ Wielki gejzer wariactwa bije z tej ziemi pod niebo. Całe wariactwo świata sprężyło się w warstwach kredowych pod naszymi nogami i wreszcie przebiło skorupę ziemską w tym miejscu gdzie stoi gmach Komitetu Centralnego Partii i wystrzeliło w niebo i rozprysło się we wszystkie strony i zaleje kontynenty, góry, pustynie i zatopi oceany. Wielki potop wariactwa, wielka klęska szaleństwa, kolosalna katastrofa nienormalności".

2.

Między szaleństwem i śmiercią: zwraca uwagę swoista materia ostatniej książki Konwickiego - rozpad fabuły i gęstość, zarazem też ciemność języka narracji. To język poetycki, w którym zdarzają się sfery jawy i snu, wspomnień i majaków. Nie jest to zjawisko w prozie Konwickiego nowe, jednakże w "Rzeczce podziemnej" ten właśnie język doprowadza do erupcji obrazów zamglonych, często nieczytelnych, niemal całkowicie od siebie oderwanych.

W "Poemacie patetycznym" napisał Tadeusz Różewicz:

Poeta żywcem pogrzebany
jest jak podziemna rzeka
przechowuje w sobie
twarze imiona
nadzieję
ojczyznę

Ten motyw zawieszenia między życiem a śmiercią również powraca stale w polskiej literaturze lat ostatnich: w "Żywej śmierci" Ewy Lipskiej, w "Obłądnie" Jerzego Krzysztonia. Bohater nowej powieści Wiesława Myśliwskiego "Kamień na kamieniu" buduje własny grobowiec. Bohater "Rzeki podziemnej" jest poetą - w tym sensie, w jakim poeta jest każdy z nas, każdy, kto wbrew nadziei ma jednak nadzieję. Każdy kto szuka nadziei w beznadziejności.

Lecz też jest to poeta "żywcem pogrzebany", jak podziemna rzeka płynie pod powierzchnią rzeczywistości. Stąd też swoista nierealność świata, w którym się porusza. Stan wojenny - przypomina w tej książce raczej senny koszmar niż obraz rzeczywistości. Ów stan świadomości świetnie pochwycił w wierszu "Oćma" Artur Międzyrzecki:

Znowu spać mi się chce
I rozpoznaję tę osobliwą półsenność:
Podczas Drugiej Wojny Światowej
Odczuwaliśmy ją przez pięć lat
Bo może łatwiej było znieść to wszystko
Co wydawało się nie do zniesienia
Na lądzie na morzu i w powietrzu.
Z lekko zamgloną świadomością

To co realne odbierane jest jako nierealne: "Gdzieś odezwała się muzyka, jakby w kanonie ulicy otworzono nagle drzwi albo okno. Snuła

się nad torami tramwajowymi - jak jakaś stęchlizna muzyka poważna a może żałobna. Muzyka opłakująca kogoś fałszywie, muzyka odprowadzająca do czyścica niepamięci jakiegoś tyrana, szaleńca, co dręczył ludzi przez lata, odprowadza ta muzyka w skrywanych podskokach, w tajemnych synkopach radości udając beczelnie rozpacz. Nasze życie, myślał Siódmy, jest podzielone na etapy, na klęski, na krocзки, od śmierci tyrana do śmierci tyrana. Przejechał pierwszy tramwaj, próbny pociąg. Ta muzyka będzie się snuć nad miastem jak ciężka, zimowa mgła. Żałoba i cisza. Bezruch i apatia. Przyczajony milion ludzi. Ukrywający się cały naród. To dorzecze Wisły, to czarna dziura naszej planety. Czarna dziura, podobna tajemniczym czarnym dziurom w kosmosie. Implozja materii intelektualnej i moralnej. Totalna cisza. Sprężona śmierć gotowa do wybuchu życia".

Ten obraz, jak wiele innych obrazów "Rzeki podziemnej", stanowi rekonstrukcję stanu doskonałe każdemu znanego: uczucia niemożności przebicia się ze snu, z koszmaru sennego ku jawie, gdy śni się z pełną świadomością tego, że to sen, ale ze snu tego nie można się obudzić.

3.

Najnowsza książka Konwickiego nie doznała przychylnego przyjęcia czytelników. Spodziewano się czegoś innego. Być może większego "realizmu", pewnej drapieżności, jakiejś wyrazistości, również politycznej. Ale nie tylko. Ktoś ze znajomych mówił mi, że nie mogąc przebrnąć przez tę lekturę sięgnął po Słowackiego i z zapartym tchem przeczytał "Króla-Ducha" zachwycając się klarownością poetyckiej wizji.

"Król-Duch"? W pierwszej chwili skojarzenie z książką Konwickiego wydało mi się nieporozumieniem. Lecz nie: jest w wizji autora "Rzeki podziemnej" widoczna także w poprzednich jego książkach swoista "kosmiczność" niewątpliwie mająca swój rodowód w sposobie obrazowania bliżkim Słowackiemu. Lecz, oczywiście, to zestawienie Konwickiego ze Słowackim jest skojarzeniem mechanicznym, spychającym ku lekturze "przez tradycję". Zapewne - trudno by było całkowicie się od owej tradycji odciąć, niemniej nie ona przecież stanowi materię wizji Konwickiego. Materię tę stanowi projekcja naszej codzienności w przyszłość. Ale też "mistycyzm" kultury narodowej, mistycyzm pozostający na granicy szaleństwa, to przecież wątek wyciągnięty z dorobku właśnie Słowackiego, także Norwida: wątek, w którym sprawa moralnego skupienia staje się problemem najżywszym.

Wiara w zwycięstwo ducha, tak oczywista w romantycznym mesjanizmie, przybiera u Konwickiego nową postać. Nie jest to bowiem wiara w zwycięstwo, w podźwignięcie się polityczne społeczeństwa. Zwycięstwo przypada tu w udziale tym, którzy przegrywają: w tym też wyraża się "wielka klęska szaleństwa" - powtórzmy: w i e l k a k l e s k a. By klęsce nadać wielkość, trzeba być szaleńcem. I szaleństwo jest przeznaczeniem tej kultury "rozumnej szaleń". Bo nawet jeśli oznacza to śmierć, jest to "sprężona śmierć gotowa do wybuchu życia".

Stąd też zakończenie poprzedniej książki Konwickiego: "Nas uratuje cud. Kolejny realny cud. Polska żyje cudami. Inne kraje potrzebują dla swej egzystencji dobrych granic, rozumnych sojuszków, zdyscyplinowanych społeczeństw, a nam wystarczy przywoity cud. Raz na pół wieku solidny cud na pograniczu niecudu. Jeszcze nie wiem, co to będzie, ale wiem, że będzie. Niesłychany zbieg okoliczności, zdumiewająca układ planet, albo nagły powiew wiatru z głębi kosmosu. Ten cud nakarmi nas boską ektoplazmą na następne pięćdziesiąt lat. A potem zobaczymy".

Naprawdę: jeśli to nie jest ironia - a nie jest - to jest to czyście szaleństwo. Częścią tej gry szaleńca jest zrealizowany niedawno

przez Andrzeja Titkova film o Konwickim: w chwili, gdy główny bohater mówi o polskich cudach, pojawiają się na ekranie trzy kilkunastosekundowe migawki, z których pierwsza ukazuje Piłsudskiego jadącego konno, druga Jana Pawła II całującego ojczystą ziemię, trzecia wreszcie Wałęsę wśród strajkujących stoczniowców - kolejne realne cudy.

4.

Jak dziś czytać podobne wynurzenia? W jaki sposób przyjmować tę prozę tak rozpaczliwie już prowokacyjną, tak otwarcie odrzucającą wszelki - w tym także polityczny - realizm? I to w chwili, gdy wszyscy cy owego realizmu - nie bardzo zresztą wiedząc, co to takiego może być - wyglądają jak zbawienia, również w sferze polityki. A tu to co realne staje się nierealne, to zaś co nierealne - przeciwnie: realne do nieprzyzwoitości. Zapewne: można to zbyć wzruszeniem ramion i sięgnąć na półkę po jakąś solidną lekturę. I oto okazuje się, że półka opustoszała, że solidnych lektur nie ma i że trzeba się zadowolić światem wymyślanym: ja sam w początkach stanu wojennego czytałem "Dekameron". Potem czytałem "Raport o stanie wojennym" Marka Nowakowskiego zastanawiając się, jak to będę czytał za lat 10 lub 20 i wiedząc, że ten tak bardzo realistyczny obraz stanie się tylko - lepszą lub gorszą, o to mniejsza - literaturą. A potem przeczytałem "Rzekę podziemną, podziemne ptaki" i wysłuchiwałem zewsząd, że "to nie to". No dobrze - pytałem - ale czegoście się, u diabła, spodziewali? Co takiego miał ten nieszczęsny Konwicki napisać? Czegoż to mianowicie on nie napisał? Jedni odpowiadali, że nie napisał "Doktora Faustusa", inni - milczeli zagadkowo. I tak to, trwa nadal.

A ja twierdzę, że Konwicki napisał dokładnie to, co zapragnął: napisał coś, co nie będzie za 10 lub 20 lat "tylko literaturą". Napisał książkę o tym, że apokalipsa jest niemożliwa, choć spełnia się na naszych oczach. Napisał powieść, w której tak realny w opowiadaniach Nowakowskiego stan wojenny nie istnieje, choć jest. Stan wojenny jest o b o k . Jest przypadkowym pejzazem, w którym przez przypadek żyjemy.

Pejzaz naszego życia jest w istocie inny. Opisuje go Miłosz w "Mieście bez imienia", to Wilno. Ależ - powie ktoś - to absurd: przecież to Warszawa. I to prawda. U Konwickiego te dwa pejzazy przenikają się wzajemnie: "Wszedł na grzbiet zamarznętej Wilejki. /.../ Potem Siódmy skręcił w lewo i szedł ulicą Dolną. Gdzieś wysoko, w tej Górnej Kolonii, odezwały się motory czołgów, które manewrowały ciężko w wysokim, kopnym śniegu".

Siódmy, bohater nowej powieści Konwickiego, brnie ulicami Warszawy stanu wojennego, ulicami Wilna. Nie on jeden. Rodobnie bohater wydanej niedawno książki Rymkiewiczza przenosi się do Miasta: "Poczuwszy się duchem polsko-litewskim pan Mareczek odnajduje na planie Wilna skrzyżowanie Zamkowej i Świętojańskiej. Jest teraz tam, w tym mieście, którego nie zna, w którym nigdy nie był i w którym może - myśli o tej ewentualności z przerażeniem - nigdy nie będzie. Staje na skrzyżowaniu w tym miejscu, w którym niegdyś stał Mickiewicz, przechodzi przez jezdnię w tym, a właśnie w tym miejscu, w którym niegdyś przeszedł ją Miłosz, i zatrzymuje się przed wystawą, przed którą niegdyś zatrzymał się Konwicki. Jest tłok na ulicy, ilu tu znajomych! Julio Słowacki zobaczył z daleka Ludkę Śniadecką, więc biegnie ku niej, potrąca Miłosza, ale nie poznał go, biegnie dalej. Domeyko spotkał Konwickiego, bierze go pod rękę i wchodzi do księgarni Zawadzkiego". To właśnie widzi dzisiaj w PRL-u pan Mareczek. Kilkanaście miesięcy przedtem "Siódmy niósł w oczach ten strzęp zasypanej śniegiem Kolonii Wileńskiej przez ulicę Lwowską i dziwił się temu, że idzie tą ulicą, że nikt go nie ściga, że miasto milczy zasłuchane w przemówienie generała".

5.

Gdzie my jesteśmy? Jak echo powraca wciąż inwokacja "Pana Tadeusza". Jak echo:

Wiatr i księżyc nad puszcza od Wilna i Grodna
Polska jak gorzki napój i wypij to do dna /.../

Bo mieliśmy ojczyznę ale jest zabrana
Od Wilna błądy księżyc jak krwawiąca ściana

/Jarosław Marek Rymkiewicz "Księżyc nad Wigrami"/

Osobliwa staje się dziś rola Wilna w polskiej literaturze - zasługuje chyba na odrębny szkic. U Konwickiego Wilno i okolice to centrum świata: "Matko Święta, żeby znaleźć się raptem na stacyjce i zobaczyć nadjeżdżający od strony Puszkarni pociąg osobowy, który zatrzyma się, weźmie ciebie w niedaleką podróż do Wilna. Tak, to prawda, stąd pochodzi cały świat. Może nie cały, ale ta jego najlepsza część. Stąd wyemigrowali za chlebem, albo uciekli gnani tęsknotą za nieskończeniem wielkim światem, stąd wywędrowali pędzeni boskim niepokojem i Szekspir i don Kichot, i Einstein, i Chaplin. Kto wie, czy Chrystus nie urodził się nad Nową Wilejką, albo pod miasteczkiem zwanym Oszmiana". Stamtąd też wyszedł Siódmy. Mówi o sobie: "Widziałem Powstanie Styczniowe, a przedtem, wczyniej, konfederatów barskich widziałem, Matko Boska. /.../ Ktoś jest we mnie, nade mną. To moja świadomość, albo czyjaś świadomość. Zgiełk myśli, chaos przeczuć, Matko Boska".

Środek świata jest, oczywiście, wazędzie: u Konwickiego jest w Wilnie, u Grassa w Gdańsku, u Białoszewskiego w Warszawie - nie ma więc sensu pytanie o to, dlaczego akurat tam umieszcza pisarz owo centrum. Jeśli jednak w swej twórczości wpisuje on pejzaż tego środka świata w przestrzeń odeń odległą - a tak właśnie czyni Konwicki wypełniając obszar Warszawy materią Wilna - wówczas pytanie o sens takiego zabiegu jest pytaniem podstawowym. Przenikanie się tych dwóch przestrzeni w piśmiennictwie autora "Wniebowstąpienia" nie jest zjawiskiem nowym - znamy je i z poprzednich utworów, choć może nigdzie nie wystąpiło ono tak wyraziście jak w "Rzece podziemnej". Warszawa staje się Wilnem. Staje się środkiem świata, w którego centrum wbito szpikuliec Pałacu Kultury: "Na Pałacu Kultury pulsowało różowe światło. Jakiś system alarmowy albo sygnalizacyjny uruchomiono na wieży tej budowli do wszystkiego, która rozsiadła się pośrodku miasta". W innym miejscu: "U wylotu kanionu ulicy piętrzył się pocziwy Pałac Kultury jak zgnieciona stara chałupa. Na wieży migało malinowe światło, które było jakimś nieznanym sygnałem dla egzekutorów stanu wojennego". I jeszcze: "Wielki plac otworzył się przed nim, w środku stał ten sławny pałac, pamiątka po Józefie Wissarionowiczu. Stał prawie do połowy zanurzony w chmurach, a właściwie w jednej wielkiej chmurze, w jednym wielkim, brudnym kłaku zmrożonego pyłu wodnego, co tego dnia zakotwiczył się nad Warszawą".

We "Wniebowstąpieniu", w "Małej Apokalipsie" - w całej twórczości Konwickiego pojawia się owa monstrualna budowla będąca pomnikiem przemocy i brzydoty górującym nad pejzażem naszego życia. Życia poddanego etyce zła i estetyce kiczu: o tych dwu kolumnach zakłamania pisze w "Prowokacji" Stanisław Lem - owo zakłamanie przejawia się w architekturze "jako monumentalizm na baczność, jako pantemony w daleko posuniętej ciąży, jako gmachy z urzędu szantażujące ogromem, o drzwiach i oknach dla olbrzymów, z rzeźbami przedstawiającymi gołych siłaczy i gołe boginie na posterunkach". Taką właśnie budowla "rozsiadła się pośrodku miasta". Jakiego: Warszawy? Wilna?

A czy to takie ważne? Dość, że jest to środek świata, w którym zabrać miejsca dla wartości: "Dobro, piękno, szlachetność, odwaga, prawda - zauważa jeden z bohaterów powieści - te wszystkie stare boginki mieszkają dziś w klinikach psychiatrycznych odziane w doskona-

że kaftany bezpieczeństwa najlepszych firm światowych".
Oto, gdzie jesteśmy.

6.

Wilno Konwickiego to utracona Arkadia. "Ja wracam i nie umiem wrócić. Jestem coraz bliżej. Jeszcze raz jestem blisko, jeszcze raz wyciągam rękę, jeszcze raz wytyżam wzrok, którego nie mam! To wyznanie bohatera "Rzeki podziemnej" wyjaśnia sens dokonywanych się na kartach książki przemian - nigdy nie dokończonych, ciągle w ruchu - Warszawy w Wilno.

"Widzę po prawej stronie Puszkarnię, zapadła głęboko w skorupę ziemską, przykryta rozlewiskami, obrosła wielkim jak duchy dzikim kminem, przesłoniętą starymi jak dolina drzewami. Później ukazuje się złocisty kamień Młyna Francuskiego /.../. Od młyna biegnie biała, posypana mąką droga przez Belmont do miasta. I tą drogą idzie z miasta albo do miasta człowiek z wielkim krzyżem na plecach. Z krzyżem nie nowym, zszarzałym, u dołu nawet pokrytym mchem. Z krzyżem noszonym przez wielu ludzi. Przez całe generacje ludzi we wszystkich czasach i na wszystkich kontynentach. Ale ten człowiek nie jest Chrystusem, stare duchy, sędziwe zjawy mówią, że to jego brat bliźniak, który nigdy nie wyemigrował do Ziemi Świętej i tu został na zawsze".

Tu - to znaczy: gdzie? W Puszkarni? W Wilnie? W Warszawie? I kto wypowiada te słowa? Kim jest to "ja", które pojawia się w utworze w pauzach między poszczególnymi rozdziałami? Powiada o sobie: "Już nie mogę tak odchodzić i wracać po całych wiecznościach. Skryję się w Puszkarni i przeczekam./.../ Wszyscy tu się męczą. Otrute drzewa, zarzynane zwierzęta, torturowani ludzie. Wracam na tę ziemię od nowa zazielenioną i od nowa zbłękitniałą wodami oceanów, wracam z nadzieją i wita mnie jeszcze raz płacz i zgrzytanie zębów. Jeszcze nie kres mojej nieśmiertelności. Gdzież to cierpiące stworzenie, za którym pójdę teraz, w jeszcze jedną drogę krzyżową? Ty nim jesteś, który dotknąłeś wzrokiem moich słów, otarłeś się przeczuciem o moje myśli, zląkłeś się mego cienia w biały dzień, albo kiedy stając się czarną szybą twego okna nad ranem".

Tu - to znaczy: na ziemi. Każdy z nas jest bratem-bliźniakiem Chrystusa. Zaś owo "ja" to świadek naszej męki i nie spełnienia, wciąż powtarzającej się apokalipsy. To świadek, który nie pozostawia nam żadnej nadziei: "Jeszcze przed nami straszna wieczność". Te słowa kończą książkę Konwickiego. Będziemy ginąć i odradzać się przez całą wieczność. Wszystko będzie się powtarzało: szałństwo istnienia i bezsens śmierci, apokalipsa i zmartwychwstanie: "Świadomość. Męka świadomości. Tortura świadomości. Stała pulsacja. Zapomnienie i przypomnienie. Długi strach i krótka błogość. Czyściciel egzystencji i nadzieja na raj niebytu".

7.

Stan wojenny opisywany czy raczej rejestrowany w najnowszej książce Konwickiego jest opisem polskiej codzienności. Już we "Wschodach i zachodach księżycy" narrator - mówiący dokładnie tym samym językiem, którym mówi Siódmy z "Rzeki podziemnej" - zauważa: "Władza schwyciła naród za gardło. A naród ścisnął władzy krtań. Obie strony są jednakowo silne albo jednakowo słabe. Nikt nie zwycięży. Jedni drugich pociągają na dno. Matko Boska. Który to raz? Ileż razy w życiu oglądałem ten króliczo krótki czas pyszności i potem lata łez, niedoli, upadku./.../ Piękny tęczyowy rozbłysk i lata lodowatej arktycznej nocy. Matko Boska". Nieustannie ponawiamy naszym życiem wzór kłęski: od konfederacji barskiej po dzień dzisiejszy.

Powtarzamy wciąż te same gesty i te same słowa. Borowski: "Zosta-

nie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń". Zagajewski: "Zostanie po nas rozsypany drukarski skład i wypłowiły szkiecadziei". Podobny sens ma ostatnia scena "Rzeki podziemnej": Siódmy umiera, zaś "z torby leżącej obok niego wysunęła się matryca z wierszem i ze słabym śladem kuli". To po nim zostanie. Oto Polska i jej historia. W wierszu "gorączka" tak ją zobaczy Adam Zagajewski:

Polska jak sucha gorączka na
wargach emigranta, Polska
mapa, którą prasują ciężkie żelazka
dalekobieżnych pociągów /.../
Kraj ludzi tak niewinnych, że nie
mogą być zbawieni

A tak zobaczy "Dzień polski" Wiktor Woroszyński:

W naszym wielkim pudle
siedzimy z uchem przytkniętym
do mniejszego pudła Tam
chrypi i świszczce
przedziera się przez gwałt zagłuszający
wynurza się z topieli odłamkiem słowa wolność
mokrą drzazgą słowa Polska
słonymi szczątkami jeszcze paru kalekich słów
upragniony głos

całej bezsilności świata

"Jeszcze przed nami straszna wieczność" - dopowie Konwicki. Wieczność klęsk, wieczność dążenia ku wartościom, które "mieszkają dziś w klinikach psychiatrycznych". Trwa zatem nasze życie rozpięte między śmiercią i szaleństwem, życie w świecie niemożliwej apokalipsy, "podzielone na etapy, na klęski, na krocзки, od śmierci tyrana do śmierci tyrana". Krążymy jak ćmy wokół wbitego w centrum świata szpikulca Pałacu Kultury pulsującego tajemniczym malinowym światłem słuchając głosu "całej bezsilności świata".

Ocala nas jednak obrona Miasta, ocala nas wierność wartościom, o której tak pięknie pisze Zbigniew Herbert. Każdy z nas niesie Miasto w sobie. Bohater Konwickiego również: jego miastem jest Wilno. Ono trzyma go przy życiu i ono jest poręką jego normalności.

Tadeusz Konwicki "Rzeka podziemna, podziemne ptaki". Wyd. "Kraę",
Warszawa 1984, s.110.

LESZEK SZ. RUGA

Moje credo pisarskie? Prawda.

(Rozmowa z Józefem Mackiewiczem)

- Dla kogo Pan pisze? Dla siebie, żony, przyjaciół, czy dla kogoś szerszego czytelnika? Czy zna Pan tego czytelnika? Jaki on jest? Nawiązuje Pan z nim osobisty kontakt poza literaturą?

- Nie, nie piszę dla siebie, bo bym w takim wypadku nie wydawał książek. Nie piszę też dla żony. Moja żona, która jest znaną pisarką - występująca pod panięńskim nazwiskiem: Barbara Toporska - jest pierwszą lektorką moich książek. Udziela mi czasem cennych wskazówek, poprawek, w niektórych wypadkach nawet sama mi dopisuje ustępy. A czasami wymyśla tytuły. Nie piszę też sensu stricto dla "czytelnika", którego przecież nie znam. Moje książki wyszły w ośmiu językach świata. Skąd mogą tych czytelników znać? Na różnych kontynentach? Prawda?

Ludzie pisali od tysięcy lat. Tu trzeba zadać pytanie: co było /i jest/ prapobudką, impulsem każdego pisania? Ostatnia książka wydana przez moją żonę ma tytuł: "Spójrz wstecz Ajonie". Zatrzymajmy się na chwilę przy tym słówku: "spójrz". Otóż wydaje mi się, że to "spójrz!" jest właśnie prapodniętą każdego pisarstwa. Człowiek widzi cudowny zachód słońca i nie może się powstrzymać, aby nie zwrócić uwagi bliźniemu: "Spójrz, co za widok!". Słowem chce pokazać innym, co go do głębi wzrusza, czy porusza. Może to być rzecz piękna, brzydka, zła lub dobra.

- Pańskie credo pisarskie. Co je wyznacza? Jakie ideały i cnoty? Jakie obszary i dążenie? Jakie miejsce w nim zajmuje religia, wiara?

- Credo przewodnie, Pan pyta? Prawda. Czy coś z niej, ale zawsze prawda. Fikcja sama mnie pūdzi. Tzw. "fikcja" osób, czy sytuacji, służy do uzupełnienia prawdy, jaką autor widzi. Całą prawdę zna tylko Bóg. Ale autor odpowiedzialny jest w opisie nie tylko za to co widzi, ale i za to, co widząc, świadomie przemilcza. Tym bardziej jeżeli czyni to na rozkaz, czy pod innym naciskiem z góry. Niezależnie od władz, czy nastrojów społeczeństwa. Krajobraz, ludzia w nim, wszystko powinno być prawdziwe. Mnie szczególnie interesuje człowiek na tle dokumentów historycznych.

- Napisał Pan dwie książki o Kościele katolickim: "W cieniu krzyża" - o Janie XXIII i "Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy" - o Pawle VI. Pierwsza wydana dziesięć lat temu, druga - sześć. Nie były to książki miłe pod adresem tej "czcigodnej" instytucji. Czy dziś z perspektywy pontyfikatu Jana Pawła II, wizja Kościoła rzymsko-katolickiego, jego posłannictwo w świecie, zmieniła się w jakimś stopniu u Pana czy też nie? Gdyby Pan pisał dziś te książki, napisałby je Pan tak samo?

- Nie były to książki o "posłannictwie" Kościoła, a raczej o tym, co nazywamy potocznie polityką Watykanu. Osobiście uważam, że polityka papieża Jana Pawła II raczej pogłębiła politykę dwóch poprzednich pontyfikatów, co m.in. dostrzegam w znacznym wysunięciu osoby kardynała Casaroli, spiritus movens "polityki wschodniej" Watykanu z okresu poprzedzającego.

- Znam zaledwie drobny ułamek Pańskiej twórczości. Gdzieś około roku 1960 wpadła mi w ręce powieść "Kontra", a w kilka lat później "Lewa wolna". Gdyby mnie Pan spróbował teraz przeegzaminować z tych lektur, pewnie bym Panu niewiele o nich powiedział, bo już nie pamiętam dobrze wątków fabularnych, imion bohaterów, ale do dziś pozostał we mnie żywy krajobraz zewnętrzny i wewnętrzny tych postaci a przede wszystkim pamięć o niezwykłym w dzisiejszym pisarstwie stosunku narratora do tych postaci - stosunku pełnym litości, współczucia i współodczuwania, a także niecierpliwości, gniewu wobec zła, ciemnych sił historii. Ta pamięć ośmiela mnie do sformułowania tezy, że wartościowanie etyczne znajduje się w centrum Pańskiego światopoglądu pisarskiego. Czy zgadza się Pan ze mną?

- Raczej nie zgodziłbym się z Panem, że "wartościowanie" etyczne znajduje się w centrum mego światopoglądu pisarskiego. W każdym razie nie leżało to w moich zamiarach, ale próba oddania pewnej prawdy życiowej. W tym także politycznej. Jestem z wykształcenia przyrodnikiem, jeszcze uczniem profesora zoologii, Konstantego Janickiego, w Warszawie. Mogę powiedzieć o sobie, że w i e m, iż podobnie jak nie ma "złych", czy "dobrych" gatunków zwierząt, tak nie ma i nie może być "złych" czy "dobrych" narodów. Mogą nimi być tylko pojedynczy ludzie. Dlatego rozpowszechnione w naszej literaturze robienie wszystkich Niemców lub Rosjan a priori "złymi" i przypisywanie im cech ujemnych dlatego, że napadli na Polskę, jest obiektywną nieprawdą. W ciągu swego życia poznałem tylu ludzi rozmaitych narodowości, z któ-

rych bardzo wielu było bardziej wartościowymi etycznie niż moi rodacy, lub, oczywiście, na odwrót. Nawet gestapowiec, czy enkawudzista, czy funkcjonariusz analogicznych formacji policyjnych wśród innych narodowości, nie musiał być koniecznie gorszy "etycznie" od pełniących analogiczne funkcje na przykład: Polaków etc. Zamiarem moim jest utrzymanie obiektywnej relacji życia.

Czym innym jest mój stosunek do idei i systemów polityczno-ustrojowych. Tak np. do komunizmu, a po trochu do nacjonalizmu. Komunizm uważam za "zły" absolutnie, nie dlatego, że jest "nieetyczny" lub bezbożny - /Lenin w liście do Gorkiego napisał: "Bóg jest śmierdzącym padłem, które smrodem swego rozkładu zatruwa powietrze świata". Nigdy tych słów nie wycofał, a obowiązuje w dzisiejszej Polsce jako "geniusz ludzkości"/ - komunizm jest zły tym, że gdziekolwiek zapanuje, od 60 lat, stanowi największe w dziejach skrupowanie wolności ludzkiej, wytwarza nudę - /o której pisałem wielokrotnie/ - nie wartą życia. Jest więc złem obiektywnym.

- Jak z okna monachijskiego widzi Pan bieżącą polską produkcję literacką? Śledzi ją Pan? Czego w niej Pan poszukuje? Czy mówi ona Panu coś istotnego o życiu w Polsce, o jego codzienności, jego klimatach duchowych?

- Z mego monachijskiego okna - mieszkam w ogrodzie na parterze - widzę przede wszystkim drzewa w barwach najpiękniejszej jesieni. I to mnie cieszy. Natomiast jeżeli chodzi o polską produkcję literacką w PRL, to mnie smuci. Dostaję ciągle stamtąd książki. Ale nie wiem co jest gorsze - czy cenzura przymusowa z urzędu, czy autocenzura piszących, aby dostać się na półki księgarskie. Wydaje mi się, że ta ostatnia. Jak czytam Putramenta, to wiem, że pisze zgodnie ze swoim przekonaniem, bo znałem go jeszcze przed wojną jako komunistę. Jak czytałem wielu innych pisarzy, tzw. "opozycjonistów", to znajduję luki z ich własnej woli - wiedzą, że to "nie przejdzie", więc piszą tak, aby "przeszło". Gdy się stałem obywatelem Sowietckiej Litwy, po zajęciu jej przez bolszewików w roku 1940, zostałem furmanem konnego wozu ciężarowego, aby nie musieć tego robić. Czego można oczekiwać po kulturze w państwie komunistycznym? "Drogi dnika", którą opisałem w jednej z moich książek.

- Jerzy Stempowski, eseista, którego ogromnie cenię za mądre i piękne pisarstwo, w listach do p. Krystyny Marek, wydanych po śmierci ich autora w książce "Listy z ziemi berneńskiej" zauważył, że istnieje coś takiego jak kondycja emigrancka - kondycja nie do pozazdroszczenia. Co to pojęcie znaczy dla Pana? Inaczej formułując pytanie: czy czuje się Pan pisarzem u siebie czy też pisarzem wygnanym - wygnanym z pejzażu dzieciństwa, młodości, z udziału we współtworzeniu kultury narodowej, ze świadomości czytelniczej szerokich kręgów, na które chciałby Pan wpływać, apelować do nich, poruszać ich sumienia.

- I ja też cenilem Jerzego Stempowskiego, z którym razem dostaliśmy jedną z najwyższych nagród literackich na emigracji. Ale nie zgadzam się z nim w poglądzie na "kondycję emigranta". Czesław Miłosz w recenzji o jednej z moich książek w "Kulturze" paryskiej, napisał: "W porównaniu z Józefem Mackiewiczem, w Związku Literatów w Warszawie nie ma ani jednego realisty. To oni są wykorzystani, nie on". Może przesadnie pochlebne słowa, ale do ostatniego zdania przynajmniej się. Czuję się tu przede wszystkim wolny w dostępie do własnej prawdy. Trochę ostatnio skrupowany, to prawda, odkąd emigracja przejęła się auto-cenzurą narzuconą jej przez "opozycję" w kraju. Ja wierzę, że znaczna część tej "opozycji" wierzy uczciwie w słuszność wytkniętej przez nią linii postępowania. Ale podzielać tej słuszności nie mogę. Nie wierzę ani w tzw. "komunizm z ludzką twarzą", ani w możliwość poprawienia komunizmu. Ja jestem za obaleniem komunizmu, oni - tak się wydaje - za jego poprawieniem. Trafnie powiedział kiedyś Ste-

fan Kisielewski, że nie można jednocześnie czegoś obalać i poprawiać. Tu pozwolę sobie na dygresję: komunizm nie ma nic wspólnego z żadną "Rosją", żadnym imperiaлизмом "rosyjskim". Największa ilość autentycznych antykomunistów na świecie, to Rosjanie. To są nasi pierwsi sojusznicy, a nie wrogowie. Komunizm to jest zaraza psychiczna, międzynarodowa, dążąca do opanowania kuli ziemskiej. Może być zwalczona tylko międzynarodowymi siłami, a nigdy narodowym, nacjonalistycznym patriotyzmem. Przeciwnie, właśnie komunizm gra, gdzie mu potrzeba, ze względów taktycznych na różnorakich "nacjonalizmach" i "patriotyzmach". Czyniąc z niego "Rosję" dezinformujemy świat zachodni, Świat Wolny jeszcze.

Mówi się dużo o zbrodniach Hitlera i wszyscy o nich wiedzą. Nie mówi się wcale o jego bezdennej głupocie, w której przypisywał komunizm do Żydom, to Rosjanom, to Słowianom w ogóle; słowem "rasie" i narodowościom. Czasem się zdaje, że idziemy śladami Hitlera, łącząc "antyradzieckość" z carską Rosją. To są rzeczy nie tylko różne, ale odwrotne.

- Nad czym Pan obecnie pracuje? Jaka będzie najbliższa Pana książka?

- Nie wiem, czy jeszcze coś napiszę. Może... Jeżeli Bóg pozwoli.

Rozmawiał: Bronisław Mamoń

Monachium, w październiku 1981 r.

Nie takie smutne, choć prawdziwe

Publiczna dyskusja na temat Karty '84 jest więcej niż żadna. Poza artykułem Dawida Warszawskiego w KOS-ie, w którym odsądził autorów Karty "od czci i wiary", głos Zbyszka Lechity w 2 nr "Bez dekretu" jest drugą znaną mi próbą podjęcia dyskusji nad tym ważnym faktem politycznym i kulturowym. Szkoda więc, że Zbyszko Lechita również nie wyszedł poza stereotyp /tak, tak/ krytyki pełnej inwektyw pod adresem sygnatariuszy Karty typu: stereotyp antyrosyjskości, naiwność polityczna, ludzka bezmyślność, zaciętrzewienie, ksenofobia, obrażanie pamięci ofiar terroru, co jest haniebne itd. Nie zgadzam się z obu autorami do do merytorycznej strony ich zarzutów, jak i metody przebijania jednych stereotypów innymi. Karta '84 jest, czy ktoś chce czy nie, "próbą dialogu zmierzającego do lepszego zrozumienia się i wypracowania płaszczyzny współpracy Polaków i Rosjan", a że próba ta obu wspomnianym autorom się nie spodobała, to już inna sprawa, sprawa stereotypów.

Nie ulega wątpliwości, że Karty '84, podpisanej przez TKZ NSZZ "S" Stoczni Gdańskiej, nie pisali intelektualiści. Jest dziełem "dołów" związkowych, działaczy szczebla podstawowego, a więc robotników i techników, polskiego "ludu" zrzeszonego w NSZZ "Solidarność". Głos tego ludu rzadko dostaje się na łamy prasy i publikacji podziemnych. Ważne jest więc przyjrzenie się temu, co ten podmiot polityczny /jeśli traktować poważnie problemy wywołania Niepodległej i Demokratycznej! / ma do powiedzenia od siebie "całemu światu". Głos ten w sumie przeraził obu publicystów - sądząc z ich tekstów, przedstawiciele dobrych demokratycznych tradycji polskiej inteligencji - mnie nie!

Szeroko rozumiana kultura polska, w tym polityczna, niejedno ma imię i o tym fakcie najwyraźniej zapomnieli obaj autorzy. Polska inteligencja, wbrew obiegowym stereotypom tejże inteligencji, nie jest

jedynym sygnatariuszem naszej kultury. Karta'84 stała się najwyraźniej bolesnym przypomnieniem tego faktu, a prawdopodobnie to nie koniec. Sądząc po ożywieniu środowisk chłopskich i one będą miały coś do powiedzenia.

Przylepianie przedstawicielom polskiej kultury robotniczej miana "prawdziwków" obraża nie tylko ich, obraża również polską kulturę. W obrębie swej subkultury są po prostu inni. Tę inność dostrzegł był Aleksander Wat pisząc w "Moim wieku" o zastanawiającym uodpornieniu polskiego chłopca na wszelkie zakusy komunizmu, dostrzegła również biskup lubelski /1946/, późniejszy Prymas Tysiąclecia stwierdzając, że polski Kościół może liczyć wyłącznie na chłopca i robotnika. Brak tego uodpornienia polskiej inteligencji przed i po II wojnie światowej rodzi pytanie, gdzie byłaby polska kultura jako całość bez tej inności tak pogardzanych stereotypów kultury ludowej. Rodzi się również następujące pytanie: czy możliwe jest oddzielenie w jej obrębie stereotypów "dobrych" od "złych"? Znaczący kultury twierdzą, że praktycznie wzorce kulturowe są niezmiennie lub podlegają zmianom niezwykle powoli.

Wracając do oceny Karty'84 - krytyka Lechity jest nierzetelna. Przypisuje "nieładne" wzorce zachowań polskich elit politycznych i intelektualnych również /domyślnie/ reszcie społeczeństwa. Jest to uproszczenie bez pokrycia. Poza tym, w moim odczuciu, pastwienie się autorów Karty'84 nad Rosjanami nie jest dowodem ich ciemniactwa i kompletnej ignorancji politycznej lecz odbiciem jakichś głębszych zjawisk, własnie kulturowych, wynikających z historycznych kontaktów "ciemnego" ludu polskiego z niemniej "ciemnym" ludem rosyjskim. Obiektywnie uznawany fakt /przez tzw. Zachód/ wyższości kultury polskiej nad rosyjską nie wynika przecież z porównania dorobku intelektualnego obu narodów. Tutaj Rosjanie, osiągnięciami swoich elit intelektualnych, czy choćby poziomem argumentacji współczesnych demokratów-dysydentów biją nas raczej na głowę. "Lud jednak wie swoje i skłonny jestem twierdzić, że jest to poglądy merytorycznie poprawny, nie ma co się na naszych "roboli" wybrzydzać, zostawmy to zajęcie rodzimym homom osom.

Spodziewałem się po obu autorach, oprócz demagogicznej krytyki, jakichś wniosków praktycznych typu: trzeba ten nasz lud oświecić. Sam byłem skłonny pierwotnie tak na ten problem spojrzeć - wypłenić "złe", pozostawić "dobre". Po zapoznaniu się z referatem ks.prof. Tischnera "Lud i jego kultura" /proponuję redakcji jego zamieszczenie/ jak i pracami etnologów oraz antropologów, zmieniłem zdanie. Tworzenie kultury "dla ludu" to nieetyczna manipulacja: wejście "białych" do środowiska "czerwonoskórych" z misją "cywilizacyjną" oznacza jednocześnie śmierć tej kultury jako całości - zarówno jej "dobrych" jak i "złych" elementów. Polska kultura ludowa okazała się na szczęście bardziej odporna niż czerwonoskórych, ale nie przeceniajmy jej zdrowia. Cóż więc począć z tym fantem? Nie jesteśmy etnologami, czy antropologami, walczymy o urzeczywistnienie podmiotowości polskiego społeczeństwa /o podmiotowość robotników chyba też? - szacowni krytycy Karty'84/. Trzeba zacząć od uszanowania odrębności tej subkultury robotniczej. Jej wytwory, typu Karta'84, należy odczytywać w jej języku. Do tego potrzeba, bagatela, poznać tę subkulturę, potraktować ją poważnie, wprowadzić w obieg jednej kultury narodowej. Tego się nie da zrobić siedząc w fotelu. Trzeba dosłownie, fizycznie wejść w krąg ludzi tego typu kultury, wspierać działania jedyne go pomostu między kulturami, czyli działania ludzi dwu czy więcej kulturowych. Śmierć chłopskiego dziecka, ks.J.Popiełuszki, za głoszenie najcenniejszych w polskiej kulturze ideałów, jest takiej pracy wymowną ilustracją.

Smutne więc dla mnie, ale i prawdziwe jest nie to, co znalazło się w Karcie'84, lecz zanik czy osłabienie działań inteligencji zapoczątkowanych przez działaczy KSS-KOR - pójścia do "ludu" z konkretnymi propozycjami, spotkania jak równi z równymi, wzajemne porozumienie

się i uczenie - tak jak w czasie strajku w Stoczni Gdańskiej eksperci brali lekko: stawanie się niemożliwego możliwym.

Zadajmy sobie na koniec przewrotne pytanie. Na czym zyska więcej polska kultura - na wyniosłym wybrzydzeniu czy na konkretnej robocie?

FILONUS PIASTOWSKI

PRZEWODNIK PO KRÓLESTWIE PROPAGANDY

Czym jest wydawana dziś w PRL prasa? Tubą propagandową ministra Urbana i sekretarza Głowczyka? Komunistycznym monolitem ściśle kontrolowanym przez SB i cenzurę, z którego wyłamuje się tylko drobna enklawa przyzwoitości w postaci prasy katolickiej z "Tygodnikiem Powszechnym" na czele? A może jednak pluralistyczną mozaiką w ramach real socjalistycznych realiów, gdzie "Polityka" na zabój kłóci się z "Rzeczywistością", "Odrodzenie" uśmiecha się do opozycji, a marginalne miesięczniki w rodzaju "Zdania" czy "Literatury" drukują teksty ośmieszające system i jego pryncypia?

Korzenie fikcji

Sytuacji środków społecznego przekazu w systemie komunistycznym nie sposób zrozumieć bez analizy roli, jaką w całości konstrukcji tego systemu mają spełniać. A jest ona o wiele ważniejsza niż trywialne informowanie, bądź zabawianie społeczeństwa. Taka analiza pozbawia zresztą wielu - skądinąd szlachetnych i zrozumiałych - złudzeń.

System komunistyczny /także w wersji odbudowanej przez Jaruzelskiego w Polsce po 13 grudnia 1981/ czerpie swe uzasadnienie i poczucie legalności z mocy ideologii. Mimo położenia w ostatnich latach - nie tylko zresztą w Polsce - nacisku na militarne oblicze systemu, prestiż państwa itd., nie powstał dotychczas nigdzie w obozie radzieckim "komunizm państwowy", w którym ideologia odsunięta byłaby zdecydowanie na dalszy plan, a legitymizacja wynikałaby z siły totalitarnego państwa. Ideologia komunistyczna zaś, by była prawomocna, wymaga ty "klasa robotnicza", a za nią "lud pracujący miast i wsi" składał bezustannie dowody swego poparcia dla samej ideologii, jak dla bieżącej polityki realizowanej przez kierownictwo partyjne. System komunistyczny, od którego odwróca się robotnicy i chłopci, ekipa komunistycznych władców, której odmówi poparcia lud, powinny - właśnie z mocy samej ideologii - natychmiast ustąpić. Ponieważ to poparcie już dawno zostało wycofane /jeżeli w ogóle kiedykolwiek istniało/ - system jest zakłamany w samej swej istocie i musi dla swego podtrzymania bezustannie produkować kłamstwo wykazujące mocne i bezpośrednie związki władzy z ludem, co niezbędne jest zarówno na użytek zewnętrzny, jak i wewnętrzny. Jeśli sięga po nagą siłę, a czyni to często i dotkliwie, też zawsze opakowuje je w fikcję ludowego poparcia, a przynajmniej poparcia robotniczej awangardy. Czy to będzie agresja na Czechosłowację, czy interwencja w Afganistanie, czy wprowadzenie stanu wojennego w Polsce, zawsze czołgi wjeżdżają w imię "obrony socjalizmu" mając lufy wycelowane w "garstkę kontrrewolucjonistów i obcych agentów", zaś cała awantura "cieszy się poparciem mas ludowych" - no, ewentualnie nie od razu, ale otumanione masy zawsze bardzo

szybko wracają na jedynie słuszną drogę.

Tak więc w systemie komunistycznym środki społecznego przekazu służą do wytwarzania fałszywej rzeczywistości złożonej ze słów i obrazów, która o tyle różni się od rzeczywistości realnej złożonej z faktów, o ile stan faktycznego poparcia dla sprawującej władzę grupy różni się od stanu wymaganego przez ideologię. Temu samemu celowi służą takie organizowane przez system komunistyczny działania i akcje masowe, jak fikcyjne "wybory bez wyboru", manifestacje i wiece, przy należność do popierających partię organizacji itp. Wszystko to razem tworzy zakłamaną "fasadę" systemu, której jedynym celem jest wykazywanie nie istniejącego faktycznie poparcia mas, dostarczanie na użytek międzynarodowy dowodów legitymizacji rządzącej partii i jej kierownictwa. Tym różni się system komunistyczny od zwyczajnych dyktatur i o tyle też bardziej jest od nich zakłamaną: taki Pinochet chociażby, czerpiący legitymizację z siły wojska i policji, nie potrzebuje dla utrzymania się przy władzy aż tak rozbudowanej, a przez to demoralizującej maszyny kłamstwa. Oczywiście, ta "fasada" ma też funkcję wewnętrzną - samookłamującą. W miarę jednak słabnięcia faktycznego poparcia dla komunizmu i zyskiwania przez poddane jego władzy społeczeństwo świadomej wiedzy o jego istocie, funkcja ta traci na znaczeniu; w dzisiejszej Polsce na przykład władza pogodziła się już z uodpornieniem większości poddanych na samozakłamanie, z ich całkowitą nieufnością do propagandy, lecz mimo to propagandowa "fasada" funkcjonuje jak dawniej, bo legitymizacja komunizmu musi być produkowana przynajmniej na eksport aż do ostatniego tchnienia "realnego socjalizmu".

Taka jest właśnie funkcja prasy, radia i telewizji, podobnie jak w znacznym stopniu nauki, ruchu wydawniczego, nawet filmu - wszędzie, gdzie operuje się myślą, słowem i obrazem, oddziałującej na świadomość ludzką. Funkcje "normalne" - informacja, poznanie, wymiana myśli i poglądów, zabawa wreszcie - są na dalszym planie. Nie znaczy, że są realizowane tylko przy okazji, albo przez przecoczenie; przeciwnie, ich znaczenie nawet rośnie w miarę unowocześniania się systemu i jego struktur, bo propaganda nie może być ani zbyt prymitywna, ani nachalna. Zawsze jednak ta pierwsza i podstawowa funkcja jest dominująca, nawet jeśli nie dominuje miejscem na łamach i czasem na antenie, nawet jeśli nie wyraża się w bezpośrednich ingerencjach w pracę autorską.

W przeciwieństwie do wielu innych autorów, nie uważam by ta okłamująca i samookłamująca funkcja "fasady" w systemie komunistycznym wynikała z jego immanentnego diabelstwa. Przeciwnie, jest ona pragmatycznym tworem komunistycznych urzędników, którzy szybko po rewolucji tracąc poparcie mas musieli je czymś zastąpić, mając do wyboru zejście ze sceny lub budowę sztucznych dekoracji. Ponieważ nikt nie lubi oddawać władzy, wybrali to drugie, a stwarzane przez nich stopniowo w tym celu struktury i instytucje same są dowodem jak kalekie, nieporadne, źle ukierunkowane, lecz konsekwentne w dążeniu do utrwalenia władzy były ich wysiłki.

Gdyby Parkinson był Polakiem ...

Struktury te i ich ewolucję na przykładzie PRL znakomicie pokazuje nie wydany dotąd /podobno przygotowuje go do druku jedno z wydawnictw emigracyjnych/ "Raport o stanie komunikacji społecznej", będący ostatnim produktem rozwiązanego przez namiestników stanu wojennego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich*), który miałem możność przestudiować w maszynopisie.

*) "Kryzys polski 1980-1983; Społeczeństwo - Świadomość - Informacja" /materiały raportu o stanie komunikacji społecznej w Polsce/, Warszawa 1984, maszynopis.

Pierwszą, rzucającą się w oczy cechą tych struktur jest centralizacja opierająca się skutecznie wszelkim burzom i odwilżom, w jakie obfitują nasze powojenne dzieje. O "Komitecie do spraw Radia i Telewizji" nie ma tu co wiele mówić, bo od początku, jeszcze w czasach, gdy istniało tylko radio, był państwowym monopolem i takim pozostał. Rzuca się tylko w oczy - jak by powiedział specjalista z dziedziny organizacji i zarządzania - "smukłość" tych struktur będąca typową cechą instytucji zbiorokratyzowanych o dużej liczbie stanowisk kierowniczych oraz szeregbi pośrednich działających "głową" od bezpośredniego wykonawstwa. Ich przeciwieństwem byłyby struktury "płaskie" dające samodzielność wykonawcom i przewidujące mniej foteli dla szefów; ale takie układy byłyby niezgodne z etatystyczną centralizacją jaka już od dawna zawarła nierozzerwalne małżeństwo z komunizmem.

Ciekawej ewolucji uległy natomiast struktury organizacyjne dzisiejszego koncernu pod nazwą Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza "Prasa - Książka - Ruch", prawie monopolisty /90% nakładu wydawanych w Polsce dzienników! / na rynku prasowym. W krótkim okresie bezpośrednio powojennym - przed zaciśnięciem stalinowskiej pętli w latach 1948/49 - na rynku prasowym ówczesnej Polski panował pluralizm organizacyjny, a nawet częściowo polityczny. Największą firmą wydawniczą był "Czytelnik", formalnie funkcjonujący jako spółka nie zdominowana przez żadną partię polityczną i wydająca najpopularniejsze tytuły prasowe; dość wymienić "Przekrój", "Życie Warszawy", "Ekspres Wieczorny", najpoczytniejsze gazety terenowe /nieraz noszące obok tytułu określenie "niezależna"/, pisma kulturalne i literackie. Obok niego funkcjonowała "Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza" na prawach wydawnictwa partyjnego PPR, oraz podobne wydawnictwa PPS, innych partii i stromnictw politycznych, wydawnictwa katolickie, terenowe, prywatne, aż do najmniejszych i efemerycznych. Proces centralizacji zaczął się po "kongresie zjednoczeniowym" w grudniu 1948 roku, kiedy to PPS została wchłonięta przez PPR pod wspólną nazwą PZPR; oznaczało to oczywiście fuzję partyjnych spółdzielni wydawniczych, powstanie Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej "Prasa". Już wcześniej "Czytelnik" poddawany był politycznym naciskom mającym ujednolicić oblicze prasy, wcielić jej całość do twórczej się, coraz bardziej zakłamej "fasady". W 1951 roku ostatecznie dział prasowy "Czytelnika" zostaje przyłączony do RSW "Prasa", która staje się zdecydowanie dominującym na polskim rynku wydawnictwem prasowym. Oznacza to też bezpośrednio podporządkowanie organizacyjne wszystkich ważniejszych tytułów prasowych kierownictwu partii.

Październikowa "odnowa" 1956 roku - choć głęboko przeorała tyle dziedzin życia - nie oznacza jakichkolwiek reform czy zmian organizacyjnych w tych strukturach. Przeciwnie: w latach bezpośrednio poprzedzających zostają wcielone do RSW "Prasa" samodzielne dotąd wydawnictwa terenowe, jakie zdołały się uchwycić przez najgorsze lata stalinowskie. Pod koniec lat sześćdziesiątych zostaje wcielona do RSW "Prasa" Agencja Robotnicza; powstaje - jako jeden z działów RSW - agencja "Interpress", będąca monopolistą w obsłudze dziennikarzy zagranicznych i w oddziaływaniu propagandowym na zagranicę.

Burzliwe zmiany rozszerzające ten monopolistyczno-centralizacyjny proces przynosi "dynamiczna" dekada lat 70-tych. W 1973 roku włączone zostają do RSW: partyjne wydawnictwo "Książka i Wiedza" oraz przedsiębiorstwo "Ruch" prowadzące olbrzymią sieć kiosków, sklepów, klubów książki i prasy, zajmujące się wprawdzie kolportażem prasy, ale główne zyski osiągające ze sprzedaży drobnych artykułów galanterijnych oraz wyrobów tytoniowych: od przerwań po papierosy! W składzie RSW, teraz już określanej jako "Prasa - Książka - Ruch", znajdują się nie mające nic wspólnego z prasą i książką instytucje, jak centrala handlu zagranicznego "Ars Polona", wytwórnia mebli giętych, przedsiębiorstwo budowlane itp. Powstają w jej obrębie dwa potężne nowe organizmy wydawniczo-handlowe: Krajowa Agencja Wydawnicza

i Młodzieżowa Agencja Wydawnicza. Pierwsza to monopolista w dziedzinie druku pocztówek, gier, kolorowych kalendarzy, potentat albumów, płyt, książek kryminalnych i sensacyjnych romansów. Druga to eksploatator chłonnego i przynoszącego coraz wyższy profit rynku kultury młodzieżowej. Co to wszystko ma wspólnego z propagandową "fasadą", z dostarczaniem systemowi legitymizujących go dowodów poparcia mas, z tworzeniem mechanizmów samookłamywania? Ano ma, choćby już ze wspomnianej tu wcześniej przyczyny, bo wszak w miarę unowocześniania systemu i z nim świadomości przywódców, doceniona zostaje rola samookłamywania w zabawie i poprzez zabawę. Ale jest i druga, bardziej wstydliva strona tej gwałtownej rozbudowy RSW w kierunku zysku i jak największych wpływów, choćby nie miały one nic wspólnego z propagandą, tylko z handlem galanterią lub dziełami sztuki: otóż całość zysków RSW /w 1981 roku 2,5 mld. zł/ idzie do podziału między jej udziałowców, którymi są: PZPR, Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej*) oraz Liga Kobiet. Sprzedaż prasy, płyt, pocztówek, mydła, gry "master mind", prezerwatywy, papierosów, półpornograficznych kalendarzy, albumów malarstwa, udających antyki mebli z Henrykowską, portretów młodzieżowych idoli - wszystko idzie na pokrycie rosnących kosztów utrzymania aparatu partyjnego, na urządzenie gabinetów i kupno aut dla "właścicieli PRL", na kosztowne podarki i łapówki, na masowe spędy i imprezy pod oklepywanym w takt oklasków hasłem "Gierek - partia, partia - Gierek!"

Nic dziwnego, że RSW "Prasa-Książka-Ruch" staje się w latach siedemdziesiątych gigantycznym imperium wydawniczo-handlowym zatrudniającym ponad 90 tys. ludzi /w tym tylko niespełna 5 tys. dziennikarzy/, gdzie działalność prasowo-kolportażowa stanowi bynajmniej nie najważniejszą i nie najzyskowniejszą dziedzinę. Rozkwita biurokracja, w samej centrali pracuje 600 urzędników, w tym co najmniej 30 dyrektorów. Spółdzielczy charakter tego tworu już od dawna jest fikcją; choć formalnie figuruje w rejestrze jako spółdzielnia wspomnianych trzech osób prawnych, nie podlega ani prawu spółdzielczemu, ani Centralnemu Związkowi Spółdzielczości Pracy, ani czemukolwiek podobnemu. Podobnie jak Komitet d/s Radia i Telewizji, stoi ponad prawem, nie odbyła się tu ani jedna kontrola NIK, omija ją Centralna Komisja Rewizyjna PZPR, sprawa RSW i jej bilansu /tajnego jak się okazuje nawet dla członków władz partyjnych/ została bardzo pobieżnie potraktowana nawet przez "odnowicielski" IX nadzwyczajny zjazd PZPR w 1981 roku. RSW nie miała - jak Telewizja - awego Macieja Szczepańskiego**) więc cisza panowała wokół tego worka nonsensów i bezprawia. Od czasu do czasu tylko wypływały na powierzchnię drobniejsze afery, jak choćby "afera Kobielskiego" /jeden z wiceprezesów RSW w latach 60-tych, potem naczelny redaktor nowopowstałego tygodnika "Perspektywy", dziś szef Krajowej Agencji Wydawniczej/, który wraz ze swymi zastępcami w sztandarowym tygodniku reżimu - jakim były i są "Perspektywy" - prowadził podwójną księgowość przechwytyjąc część honorariów. Oczywiście, ważniejszym tuzem concernu-spółdzielni włos z głowy nie spada, lądują powyżej na "innych odpowiedzialnych stanowiskach".

W tej absurdalnej strukturze powstałej tylko z pazernej woli schwylenia czego się da, widać oczywistą przeciwność w realizacji partyjnych celów: tak zarabiania pieniędzy, jak i uprawiania propagandy. Po pierwsze, struktura tak zbiurokratyzowana, ciężka i źle zorganizowana będzie mało sprawna i sporą część wpływów zmarnotrawi w swym wnętrzu. Po drugie, takie właśnie zorganizowanie przy niesprawnym zarządzaniu pozwala podporządkowanym jednostkom realizo-

*) Po rozpadzie Federacji w latach 1980/81 do RSW przystąpiły uzależnione od partii organizacje młodzieżowe każda z osobna.

**) Wraz ze swym zastępcą Patykiem b. szef radiokomiteu został najpierw skazany w rozpracowanym jeszcze w 1981 r. procesie, lecz ostatecznie po cichu ułaskawiony na podstawie "odkruzonej" na tę okoliczność amnestii z 1983 roku. Cenzura zdjęła z prasy wzmianki na ten temat.

wać swe własne cele, nie zawsze mające wiele wspólnego z wolą centrali: tak handlowe, jak polityczne - to także potwierdzają dzieje tej firmy. Czemu się jednak dziwić: czy inaczej zorganizowane są resortowe imperia gospodarcze w realnym socjalizmie?

Wyłącznie jednak cechą struktur funkcjonujących w obrębie "królestwa propagandy" jest ich fikcyjność. Tym nie charakteryzują się nawet najbardziej ociężałe i źle zorganizowane struktury gospodarcze w PRL; tam jednak produkuje się - choć mało sprawnie - rzeczy konkretne, tu tylko słowa, obrazy i poglądy. RSW jednoczy bowiem cechy centralnego urzędu, agencji partyjnej, spółdzielni i przedsiębiorstwa handlowego nie będąc do tego upoważniona przepisami i własnym statutem. Nie inaczej "radiokomitet" czyli - używając oficjalnej nazwy: "Komitet do spraw Radia i Telewizji". Tak jak tam maskującą fikcją jest miano "spółdzielni", tak tu "komitetu". Nazwa sugeruje bowiem jakieś ciało społeczne - choćby i partyjne - przez kogoś powoływane, przed kimś odpowiedzialne, zbierające się regularnie i podejmujące jakieś uchwały. Nic z tych rzeczy: preza "radiokomitetu" i jego zastępców mianuje prezes Rady Ministrów a praktycznie sekretariat KC i przed nim tylko jest prezes odpowiedzialny. Żaden komitet nie istnieje i nigdy się nie zbierał: firma funkcjonuje jak zwyczajny biurokratyzowany urząd podległy bezpośrednio i sekretarzowi KC i sekretarzowi KC d/s propagandy /obecnie Jan Głowczyk/. Już po wprowadzeniu stanu wojennego ogłoszono parokrotnie, iż zebrało się owe gremium, co stanowi różnicę w stosunku do wszystkich poprzednich okresów PRL, kiedy istniało tylko na papierze. Nie wiadomo jednak kto doń wchodzi i jakie podejmuje uchwały. Od co najmniej roku zaprzestano już podawania takich komunikatów i los tego fikcyjnego tworu jest pewno taki sam, jak w czasach Macieja Szczepańskiego czy Włodzimierza Sokorskiego.

Okres "Solidarności" wywołał gwałtowne ataki na oba fikcyjne twory, przy czym oczywiście więcej namiętności budził "radiokomitet", tak ze względu na świeżą aferę Szczepańskiego, jak i społeczne oddziaływanie TV. Domagano się ich zreformowania, rozbitcia RSW na mniejsze, bardziej pluralistyczne i dające się sensownie zarządzać organizmy; żądano uspołecznienia radia i telewizji, przenajmniej przez powołanie "radiokomitetu" jako ciała odpowiedzialnego przed Sejmem. Oba mochy przetrwały okres burz w kształcie nie zmienionym. Tu znówu powtórzyła się zadziwiająca prawidłowość znana zarówno z października 56, jak i z krótkiego okresu społecznego poruszenia po grudniu 70. Wszelkie korzystne zmiany w prasie, radiu, telewizji, wszelkie rozluźnienie cenzury, "liberalizacje" i "odżywcze wiatry" wynikają jedynie z rozchwiania, nie z reformy, bo takiej nigdy nie było! To dezorientacja nadzorców przy presji chcących pisać prawdę dziennikarzy stworzyła fenomen "Po prostu" w 1956 roku, czy "Gazety Krakowskiej" w 1980. W układach organizacyjnych nic nie drgnęło. Tutaj właśnie - jakby w karykaturalnej postaci - potwierdzona została nie nowa teza, że system komunistyczny można oddolną przesją co najwyżej zdezorganizować, ale nie zreformować. Tak właśnie było.

Pewne niewielkie zmiany w strukturze RSW przyniósł okres stanu wojennego. Powstało Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnicze "Rzeczpospolita" wydające gazetę pod tym tytułem i parę drobniejszych, lecz zyskowych periodyków pokrywających deficyt nudnej jak flaki z olejem "rządówki". Tym nie mniej, zaistniało inne niż RSW państwowe przedsiębiorstwo na rynku prasowym. Przyjęta w ubiegłym roku przez Sejm ustawa prasowa formalnie umożliwia uzyskanie uprawnień wydawniczych przez dowolną instytucję, bądź nawet osobę, lecz obwarowuje to wieloma trudnymi do spełnienia warunkami, w tym politycznymi. Po raz pierwszy jednak stopień monopolizacji polskiego rynku prasowego zmalał: zamiast dotychczasowych ponad 90% nakładów dzienników w RSW mamy już tylko 87%.

Te pozostałe procenty rozdzielone są też według klucza politycznego. Poza RSW i "Rzeczpospolitą" własne wydawnictwa prasowe mają

wszystkie "stronnictwa sojusznice" wedle swej ważności dla rządzącej partii. A więc kolejno: wydawnictwo ZSL "Prasa Ludowa", wydawnictwo SD "Epoka", wydawnictwo "PAX" i już zupełnie drobne wydawnictwa ChSS i PZKS. Prasę naukowo-techniczną wydaje związane z Naczelną Organizacją Techniczną wydawnictwo "Sigma". Drobne i rzadko się ukazujące periodyki naukowe lub reklamowe wydają różne inne instytucje. Zezwolenie na wydawanie dzienników mają tylko - prócz RSW i "Rzeczpospolitej" - "Prasa Ludowa", "Epoka" i "PAX". Dlatego też poza RSW więcej wydaje się tygodników i miesięczników; stąd, jeśli wziąć pod uwagę łączny jednorazowy nakład wszelkich periodyków - od roczników do dzienników - monopol RSW nie jest już tak przytłaczający, wynosi 61% tego nakładu. Jeśli jednak wziąć pod uwagę ilość papieru, jaką dysponuje RSW, a tym samym ilość druku docierającego do przeciętnego czytelnika /dziennik ukazuje się ponad 300 razy rocznie, miesięcznik tylko 12 razy/, to znów zbliżyliśmy się do tych magicznych 90%. Mimo pozorów pluralizmu monopol wydawnictwa partyjnego jest przytłaczający.

Poza tym systemem znajduje się niezależna prasa katolicka związana tylko z Episkopatem, nie podlegająca którejś z prokomunistycznych grup "katolickich" w rodzaju PAX-u, ChSS-u, czy PZKS-u. Omówienie tej grupy periodyków, na czele której stoją bez wątpienia krakowski "Tygodnik Powszechny" i warszawski "Przeгляд Katolicki" wymaga osobnego tekstu, warto tu przypomnieć nr 3 z b.r. "Tygodnika Powszechnego", gdzie dokonano zwiększłej prezentacji polskiej prasy katolickiej.

Spróbuję oszacować jej udział w jednorazowym nakładzie czasopism. Jest to niemożliwe na podstawie "Biuletynu Prasy Krajowej i Zagranicznej" wydawanego "do użytku wewnętrznego" przez Zarząd Główny RSW. Wspomniane tygodniki występują tam w dziale "społeczno-kulturalne", reszta zaś w dziale "religia i religioznawstwo" obejmującym 56 tytułów o nakładzie łącznym nieco ponad milion egz., to znaczy 2,5% jednorazowego nakładu prasy krajowej. Ale są w tym czasopiśmie innych wyznań, a także periodyki religioznawcze. Wspomniany artykuł w "Tygodniku Powszechnym" podaje, iż obejmuje ona 31 tytułów o łącznym nakładzie 1,16 mln egz. A więc niezależna prasa katolicka to zaledwie 1,3% ukazujących się w Polsce tytułów i 2,7% nakładu.

Szaleństwo biurokraty

Z przeglądu całościowej panoramy czasopiśmiennictwa PRL wróćmy do struktur, w jakich wydawana jest prasa "reżimowa", a zwłaszcza do systemu kierowania i kontroli. Jeśli opis struktur RSW byłby bez wątpienia fundamentalnym materiałem dla znakomitego Parkinsona, to absurd układu kierowania przekraczałby już pewnie możliwości tego teoretyka biurokracji: tam zaczyna się bowiem obszar szaleństwa traktowanego jednak w PRL najzupełniej serio, tak przez władców jak i przez podległych im dziennikarzy.

Mamy tu bowiem nie jeden - jak w każdej normalnej, nawet zbiurokratyzowanej organizacji - ale cztery, a właściwie "trzy i pół", odrębne, niezależne od siebie układy kierownicze!

Pierwszy jest oczywisty, wynikający ze służebnej podległości w strukturach RSW bądź "radiokomiteu". Prezesowi podlega odpowiedni wiceprezes, temu dyrektorzy, im poszczególne wydawnictwa centralne lub terenowe, wydawnictwom redakcje kierowane przez swych redaktorów naczelnych. Podobnie w radiu i telewizji, tylko zamiast "wydawnictwa" mamy dwa inne pośrednie szczeble: "pion" i "naczelnia redakcja". Ale ten układ kierowniczy kompetentny jest tylko w sprawach techniczno-gospodarczych; mówiąc obrazowo panuje nad biurkami, przy których siedzą redaktorzy, ale o tym, co na tych biurkach się pisze, decyduje już układ inny, funkcjonujący całkowicie poza RSW bądź "radiokomiteem".

Ten drugi układ to układ kierownictwa politycznego sprawowany

przez Wydział Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR pozostający pod bezpośrednią pieczęą wspomnianego sekretarza KC d/s propagandy /kierownik wydziału, obecnie Bogdan Jachacz odgrywa rolę pomocniczą/. Wydział dzieli się na sektory, którym podlegają politycznie poszczególne redakcje /dzienniki, prasa społeczno-kulturalna, techniczna, radio, telewizja itp./. Tu ustala się przede wszystkim personalną obsadę stanowisk kierowniczych a nawet redaktorskich, bo ten subtelny instrument nie został powierzony kierownictwu RSW bądź "radiokomitetu": one podpisują tylko formalne angaże z wyznaczonymi we wszechmocnym wydziale nominatami. Stanowiska redaktorów naczelnych wszystkich pism centralnych /nawet wydawanych poza Warszawą, lecz rozprowadzanych w całej Polsce/ obsadza się jeszcze wyżej, bo - używając partyjnego żargonu - "są one w nomenklaturze sekretariatu KC". Musi się więc zebrać na najwyższe gremium partyjne aby zgodzić się w kwestii obsady naczelnego redaktora nie tylko "Życia Warszawy", ale nawet piśmka wrocławskich twardogłowców "Sprawy i Ludzie". W wydziale też podejmowane są decyzje o czym pisać, udzielane ukierunkowania i instrukcje, tu analizuje się dziennikarską produkcję udzielając pochwał i ostrych reprymend. Ostatnio większą rolę w tych ukierunkowaniach odgrywa rzecznik prasowy Rządu, co wywołuje pewne tarcia i niesnaski między dwoma gmachami położonymi w osi al.Ujazdowskich i pomiędzy tow.Głównykiem a tow. Rakowskim jako zwierzchnikiem Urbarza. Chodzi tu jednak o odcienie i niuanse, a zwłaszcza o zazdrośnie chroniony zakres władzy i kompetencji. Podobne funkcje sprawują odpowiednie wydziały Komitetów Wojewódzkich PZPR w stosunku do prasy lokalnej.

Tego mało. Potrzebny jest kolejny układ już nie tyle aktywnego kierowania, lecz zabezpieczającej kontroli, którym jest cenzura, znowu całkowicie niezależna od struktur biurokratycznych RSW i "radiokomitetu", ani od aparatczyków z wydziału. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk podlega formalnie tylko prezesowi Rady Ministrów a faktycznie najwyższemu kilkuosobowemu kierownictwu państwowo-partyjnemu. Nic mu nie może kazać ani prezes RSW ani nawet sekretarz KC d/s propagandy. Natomiast każda stronica gazety, każdy maszynopis przed wydrukowaniem, ba, ogłoszenie lub pieczętka nawet, muszą przejść przez prewencyjną kontrolę Urzędu, bądź któregoś z jego terenowych agend. Tam, gdzie nie można tekstów przekazać wcześniej do kontroli - jak w dziennikach radiowych czy telewizyjnych - stale urzędują w studio dyżurni inspektorzy cenzury. W drukarniach zaś maszyna nie może ruszyć bez maleńkiego stempla: "ocenzurowano". Jest to układ najbardziej niewidoczny, bo, o wydziale, a zwłaszcza o funkcji sekretarza KC d/s propagandy czasami spotyka się wzmianki w prasie, zwłaszcza partyjnej, o cenzurze - nigdy. Jedyne ślad w postaci wielokropka w nawiasie i powołania na ustawę, znaleźć można w niezależnej prasie katolickiej i - bardzo, ale to bardzo rzadko - w niektórych publikacjach książkowych. Jest to, podobnie jak możliwość odwołania się od decyzji cenzury do Naczelnego Sądu Administracyjnego, jedyne ocalałe do dziś zwojewództwo "Solidarności" nad wszechmocną bestią cenzorską. Jeden z partyjnych redaktorów naczelnych nazwał w wywiadzie to zaznaczanie ingerencji cenzorskich "kuglarskimi sztuczkami". I słusznie: w RSW, "Rzeczpospolitej", "radiokomitecie" nie wolno korzystać z tego ustawowo zagwarantowanego prawa i jest to reguła żelazna, nie łamana nawet wtedy, gdy domaga się jej autor o wielkim nazwisku. Najwyżej nie damy tekstu! Próby korzystania z tego prawa poza niezależną prasą katolicką były sporadyczne i kończyły się źle dla próbujących. W "Przeglądzie Technicznym" /wydawnictwo "Sigma"/ doprowadziło to do zdjecia ze stanowiska p.o. red. naczelnego i zastąpienia majorem z wojska. W miesięczniku "Zarządzenie" /ówcześnie wydawał go jeden z instytutów naukowych/ do czasowego zawieszenia pisma. W tygodniku "Ład" wydawanym przez PZKS do twardogłowej rewolwy w zarządzie tego stowarzyszenia, obalenia prezesa /był nim pos.Zabłocki/, gruntownych zmian personalnych w redakcji.

I jeszcze czwarty, szczątkowy układ: "kierowanie nie wprost", przez

manipulację nakładami i przydziałami papieru. Robi to nie wiadomo kto, ale w ten sposób można skutecznie powściągnąć niesforne redakcje i ograniczyć zasięg ich oddziaływania, zaś preferować potulne. Ten układ był wykorzystywany w okresie "Solidarności" jako awaryjny, gdy zawodziły układy poprzednie.

Proszę mi teraz pokazać jakąkolwiek strukturę, gdzie funkcjonują trzy /a właściwie trzy i pół/ niezależne od siebie układy kierownicze, podległe zupełnie innym ciałom? Jest to najstraszliwszy absurd, który taką strukturę musi uczynić wyjątkowo niesprawną, koślawą, źle działającą. I tak jest w istocie. Ale do podobnego zwielokrotnienia nadzoru może uciec się tylko ten, który w panicznym strachu przed "niewłaściwym" obrazem lub słowem nie ufa już nikomu i niczemu, boi się własnego cienia, ma za niepewnych nawet najbliższych sobie funkcjonariuszy. I tak jest w istocie.

Oczywiście, te wszystkie układy kierowania funkcjonują także w prasie "stronnicztw sojusznicych", choć tu pośrednikiem politycznym są odpowiednio wydziały władz centralnych ZSL, SD, prządowych grup katolickich. Wyjątkiem jest niezależna prasa katolicka, gdzie z oczywistych względów nie może funkcjonować układ drugi, zaś pierwszy jest organizacyjnie normalny. Trzeci natomiast i czwarty /który właśnie dla tej prasy nie jest układem szcątkowym, lecz w pełni aktywnym/ działają tu z oczywistą siłą.

Cała ta poroniona konstrukcja wymyślona przez bojących się własnego cienia stalinowskich aparaczczyków nie jest bynajmniej skuteczna. Od dawna wiadomo, że postawienie kilku nadzorców na straży niewieściej cnoty jej nie zabezpiecza, zaostrza jedynie apetyt. Tak i z cnotą cenzuralno-polityczną. Cały etos polskiego dziennikarstwa powojennego 40-lecia ma jako jedną z naczelnych wartości obełganie cenzora i "towarzysza z wydziału". I nader często się to udaje, choć zazwyczaj półgębkiem, za cenę innych kompromisów. Stąd zarówno moralna dwuznaczność "pisanie pod cenzurę", jak i wychowywania przez ten system zupełnie innej kategorii ludzi piszących: potulnych, godzących się na wszystko w imię "świętego spokoju" i wysokiej wierszówki. Obie te kategorie zaludniają redakcyjne pomieszczenia nie tylko w RSW i "radiokomitecie", nieraz też obie współistnieją w jednej duszy i jednym piórze.

Każdy jednak z usiłujących przeskoczyć centralny pułap, zachowujących jakieś minimum przyzwoitości w nieprzyzwoitej sytuacji stanie wcześniej czy później przed wyborem decydującym: spodlic się na równi z potulnymi, czy wyjść z systemu? Przed takim dramatycznym wyborem stanęli polscy dziennikarze po 13 grudnia 1981, a osobiste losy wielu tych, którzy dziś znaleźli się w niezależnej prasie katolickiej, wybrali milczenie, bądź pisanie bez cenzury w podziemnych publikacjach, dowodzą, że może być to wybór godny szacunku. Wbrew potocznej opinii okazało się, że ten zawód grupuje nie tylko przysłówiowych "pismaków".

Przed takim samym dramatycznym wyborem staną wcześniej czy później dzisiejsi młodzi dziennikarze usiłujący w PRL-owskiej prasie prześlizgnąć się /nieraz z całkiem niezłym skutkiem/ między nadzorem swego szefa, "towarzysza z wydziału" i cenzora.

Mozaika i monolit

Nakłady prasy po stanie wojennym są na ogół nieco niższe niż poprzednie. Dłużej też leży prasa w kioskach; nie do pomyślenia są sytuacje, gdy ulubione niegdyś pisma - "Polityka", "Życie Warszawy", "Gazeta Krakowska", "Czas", "Głos Wybrzeża" - zniknęły w ciągu kilku minut, kiedy pod kioskami ustawiały się kolejki. Wynika to po części ze zniechęcenia do "reżimowych" pism, ale też ze zubożenia

społeczeństwa, kiedy mniej się wydaje na potrzeby kulturalne. Ludzie generalnie niechętnie odchodzą od "swojej" gazety, nawet gdy jest znormalizowana wedle Urbana i Głównicyka i gdy warto czytać w niej tylko wiadomości sportowe. Dlatego też nie udał się bojkot prasy, zresztą propagowany przez podziemie jakby półgębkiem i bez koordynacji /raz pisano, że środa ma być "dniem bez prasy", innym razem, że sobota/. Znikła oczywiście poczytna prasa "Solidarności", pojawiło się trochę nowych tytułów niezależnej prasy katolickiej, wzrósł nakład "Tygodnika Powszechnego", choć niewspółmiernie do potrzeb rynku /czwarty układ działa!/. Bardzo źle są przyjmowane i niechętnie kupowane nowe tytuły wprowadzone już po ogłoszeniu stanu wojennego, obojętnie czy starają się być "liberalne" /"Zdanie", "Tu i teraz", "Odrodzenie"/, czy "twardogłowe" /"Twórczość Robotników", "Tygodnik Związkowy"/. Przyjął się na rynku właściwie tylko "Przegląd Tygodniowy".

Fenomenem polskim jest i była prasa "społeczno-kulturalna" o nakładach w stosunku do liczby mieszkańców zdecydowanie wyższych niż na Zachodzie, a nawet w innych państwach komunistycznych. Jest to substytut normalnej, pluralistycznej prasy politycznej, bowiem tylko na płaszczyźnie "społeczno-kulturalnej" mogą być w sposób zawaolowany omawiane problemy dotyczące politycznych kontrowersji i niesprawności systemu. Też na ogół nie wprost, lecz na ogół w reportażu przedstawiającym jednostkowe, a więc "nietypowe" przypadki. Stąd tzw. "reportaż literacki" i "reporterzy" /to słowo znaczy zupełnie co innego na Zachodzie/, często o wielkich, powszechnie znanych nazwiskach, jak Ryszard Kapuściński, czy Krzysztof Kąkolowski, są fenomenem prasy realnego socjalizmu, dz cmy cenzury. Zresztą ten rodzaj prasy szczególnie ucierpiał przez wprowadzenie stanu wojennego, tu największej znanych tytułów uległo likwidacji /np. "Kultura", "Czas", "Student" / lub "normalizacji" połączonej ze zniknięciem wielu wybitnych nazwisk /np. "Literatura", "Polityka", "Życie Literackie"/.

Ciekawe jest kształtowanie się nakładów i zwrotów w ostatnich latach, które podam za wspomnianym wcześniej "Biuletynem". Na początek dzienniki. Jeśli całkowity jednorazowy nakład polskiej prasy w połowie 1984 roku obejmował 1276 tytułów w ilości 39,9 mln. egz., to dzienników było 54 w ilości 9,5 mln. egz., w tym 17 dzienników stanowiących bezpośrednio organ PZPR /RSW wydaje również dzienniki "pośrednio" partyjne, nie będące organem komitetu jak np. "Życie Warszawy"/. Jeśli całkowity nakład polskiej prasy lekko rośnie /w 1983 roku wyniósł on 36,5 mln. egz./, przy nieco mniej rosnącej sprzedaży, to sprzedaż dzienników PZPR lekko maleje /w 1983 r. - 3,9 mln. egz., w 1984 r. - 3,7 mln. egz./. Kilka przykładów znanych tytułów w tabeli

tytuł	nakład 1982 r.	nakład 1984 r.	zwroty 1984
Trybuna Ludu	857,7 tys. egz.	701,5 tys. egz.	15,6%
Rzeczpospolita	188,0 " "	211,5 " "	34,1%
Żołnierz Wolności	188,3 " "	158,7 " "	40,8%
Trybuna Robotnicza /Katowice/	651,7 " "	588,5 " "	1,8%
Gazeta Krakowska /Kraków/	215,8 " "	204,9 " "	2,6%
Słowo Powszechne /PAX/	77,6 " "	84,7 " "	7,0%
Życie Warszawy	313,5 " "	301,5 " "	3,2%
Dziennik Ludowy /ZSL/	229,8 " "	242,4 " "	16,9%

Tygodniki:

tytuł	nakład 1982 r.	nakład 1984 r.	zwroty 1984 r
Polityka	370,7 tys. egz.	359,8 tys. egz.	7,9%
Tu i Teraz	46,9 " "	31,4 " "	31,6%
Rzeczywistość	81,5 " "	40,0 " "	43,0%
Sprawy i Ludzie	16,8 " "	37,2 " "	5,6%

Perspektywy	220,4	"	"	195,9	"	"	3,9%
Odrodzenie	-	"	"	69,0	"	"	89,7%
Argumenty	45,6	"	"	28,7	"	"	19,7%
Tygodnik Powszechny	75,2	"	"	78,6	"	"	0,05%
Życie Literackie	57,6	"	"	54,4	"	"	31,1%
Ład	28,1	"	"	25,2	"	"	20,1%
Przyjaciółka	2002,8	"	"	2141,6	"	"	0,01%
Przegląd Tygodniowy	72,9	"	"	169,5	"	"	7,6%

Nie mają praktycznie zwrotów niezależne tygodniki i dwutygodniki katolickie oraz pisma kobiece. Zwraca uwagę niezła poczytność prasy kolorowej, nawet "twardogłowych" "Perspektyw". Minimalne zwroty mają też pisma dla dzieci i młodzieży. Znormalizowana "Polityka" odzyskała w zasadzie poczytność, choć przy większych zwrotach niż przed stanem wojennym. Oczywiście aż prosi się stwierdzenie, że tym rynkiem nie rządzi prawa rynku. Twierdzenie trywialne, niestety.

"Quasi-pluralistyczne" oblicze prasy "reżimowej" wyraża się w funkcjonowaniu dwu wyraźniejszych grup: "liberalnej" obejmującej "Politykę", krakowski "Zdanie", wrocławski miesięcznik "Odra", organ PRON "Odrodzenie", częściowo "Tu i Teraz" /mimo twardogłowych występów Jana Rema i samego naczelnego Kazimierza Koźniewskiego, ostatnio zresztą zdjętego ze stanowiska/, oraz młodzieżowy tygodnik "Radar". Ten "liberalizm" wyraża się w usiłowaniu niektórych autorów przesiłgnięcia się pod poprzeczką cenzury, znalezienia jakiegoś porozumienia z czytelnikiem, a przynajmniej "robienia doń oka". Pisma te starają się drukować czasem autorów nie całkiem prawomyślnych, ostro nieraz polemizują z grupą "twardogłową". Ten liberalizm idzie nieraz tak daleko, jak tylko jest to możliwe - jak w przypadku wrocławskiej "Odry" i krakowskiego "Zdania" w jego pierwszym okresie /do karnego usunięcia redaktora naczelnego/ - wydaje się też by szczerym. W innych przypadkach /"Polityka", a zwłaszcza "Tu i Teraz"/ jest to żonglerka piórem i pałką na przemian.

Ten "liberalizm", który "Polityka" demonstruje dość już namolnie nie ma jednak pokrycia w poczytności. Polski czytelnik jest konserwatywny; niektórzy przyzwyczaili się do dawnej "Polityki" więc kupują ją nadal. Krakowski miesięcznik "Zdanie" - mimo iż, zwłaszcza w pierwszym okresie, był ewenementem, a i obecnie zamieszcza interesujące teksty - ma tylko 10 tys. nakładu i 26% zwrotów! W ugruntowaniu tej opinii o "liberalizmie" czy "rewizjonizmie" pewnych pism ma swój udział grupa "twarda", która uczyniła sobie z nich /kto wie czy nie bez odgórnego polecenia?/ - zwłaszcza z "Polityki" negatywnego bohatera.

Ta druga grupa, to dziennik "Żołnierz Wolności", którego przed całkowitą kląpą ratuje tylko przymusowa dystrybucja w koszarach, "Rzeczywistość", wrocławski tygodnik "Sprawy i Ludzie", "Argumenty", częściowo "Perspektywy" i nowe tytuły: "Twórczość Robotników" oraz "Tygodnik Związkowy" pod redakcją Kazimierza Kąkolea tym razem w roli orędownika "wronich" związków zawodowych. Tego nie czyta prawie nikt, ale też nie wydaje się, by zbytnio przejmowali się tym sami twardogłowy*).

Przeciętnego polskiego czytelnika mało te spory obchodzą, ma je - i słusznie - za pozorne, lub z góry nakazane. Kupuje "swoją" gazetę, w której czyta na ogół ogłoszenia, wiadomości sportowe i miejskie oraz prognozę pogody. Poluje na prasę kolorową, sensacyjną, kobiecą, młodzieżową i ewentualnie techniczną. Jeśli zdoła dostać, nabywa chętnie niezależne pisma katolickie, jeśli mu się to nie uda, sięga po pismo PAX-u, bądź czegoś podobnego. Jeśli jest inteligentem o kulturalnych zainteresowaniach, jest czytelnikiem - choć nie zawsze regu-

*) Dziwią małe zwroty "Spraw i Ludzi". Pismo jest jeszcze gorsze od "Rzeczywistości". Nie umiem więc tego wyjaśnić.

larnym - któregoś z pism reporterskich, "Polityki", albo nawet zezującego ku twardegłowcom, lecz czułego na sensację "Przeglądu Tygodniowego".

Jak z tego wyjść ?

Projektów reformy i uspołecznienia tego niesprawnego systemu było sporo. Te ostatnie z okresu "Solidarności" obszernie przedstawia wspomniany "Report". Jego autorzy żywią jeszcze te urocze złudzenia, jakie były udziałem przeróżnych jego reformatorów na przeróżnych zakrętach. Reformatorzy wylecieli z posad, a nierządki i z kraju, system ostał się bez większych zmian. Bliższa jego analiza pokazuje aż nadto dowodnie, jak daremnie to wysiłki i próżny trud. W tym sensie, system - choć aż do skretynienia niesprawy i zachęcająco dla wszykich usiłujących wykiwać cenzora "dziurawy" - to jednak konsekwentny.

Dlatego następna "odnowa" - o ile podaży śladem poprzednich - znów rozchwije to ponure gmaszysko, poszerzy dziury i szczeliny, ucieszy czytelnika erupcją wolności, po czym pewna liczba gorącogłowych odnowicielei opuści biurka i połemie pióra w ramach kolejnej "przykrętki".

W obrębie "realnego socjalizmu" nie może być po prostu innego i mądrzej skonstruowanego systemu społecznego przekazu /a może "przykaz"?/, bo zakłamanie jest jego immanentną cechą, pokarmem, jakim żywią się jego struktury. Zatrzymanie produkcji kłamstwa oznaczałoby zatrzymanie serca tej partiokracji. Dlatego wyjść stąd można tylko przez wyjście z systemu. Albo wyjście indywidualne z całym ryzykiem i dramatyzmem wynikającej stąd osobistej sytuacji. Albo wyjście zbiorowe przez obalenie, bądź pokojową, lecz diametralną zmianę systemu, co nas jeazczce nieuchronnie czeka. Nadzieja, że pokraczną konstrukcję mechanizmów propagandowej fasady zmieni odnowiona partia lub jakiś dobry sekretarz, jest złudzeniem. Jan Głowczyk, dzisiejszy szef tej firmy też był niegdyś przyzwyczajony, dobrze przez swój personel wspomnianym naczelny redaktorem, niezłego tygodnika "Życie Gospodarcze". Zgłupiał i spokraczniał, gdy tylko wlaźł w te tryby. Ta sama przyszłość stoi przed jego osobistym przyjaciele, zdolnym ekonomistą z kręgu "Życia Gospodarczego" - Wiesławem Rydygierem - mianowanym w lutym 1985 nowym prezesem RSW "Prasa-Książka-Ruch". Jakże straszny czeka go los, jakże serdecznie mu współczuję!

JAN KAPPA

Najsurowszym cenzorem - strach

Na krótko przed moim wyjazdem w 1980 roku z ZSSR rozeszła się w Moakwie pogłoska, że na telewizyjnych ekranach ukaże się, dopiero co nakręcony, wieloodcinkowy film będący ekranizacją książki Conana Doyle'a "Notatki o Sherlocku Holmesie". Rozeszła się również druga pogłoska, iż film został objęty zakazem rozpowszechniania, odłożony na półkę, zaś jego twórcy otrzymali nagany za to, że próbowali przemycić na ekrany błędne ideowo treści. Wyglądało to dość dziwnie, bowiem "Notatki..." wydawano i wznawiano w ZSSR dziesiątki razy i trudno było nawet sobie wyobrazić, do czego się można w nich przyczepić. Wkrótce jednak wszystko się wyjaśniło. Niecenzuralny fragment znajdował się już w pierwszym odcinku, w pierwszych kadrach filmu. Sherlock Holmes spotyka się po raz pierwszy z doktorem Watsonem:

- O - mówi Sherlock Holmes - widzę, że dopiero co przyjechał pan z Afganistanu.

I w odpowiedzi na zdumione pytanie doktora jak na to wpadł, siyrny detektyw odpowiada:

- Hm, domyślić się było nietrudno. Kuleje pan na lewą nogę, a po sposobie w jaki pan to robi, można bezprzebieżnie wnioskować, że jest to wynik niedawnego zranienia kulą. Znaczy to więc, że był pan niedawno na wojnie. A gdzie toczy się teraz wojna? W Afganistanie.

Ten utwór dawno zmarłego klasyka angielskiego stał się nagle niedopuszczalny z punktu widzenia sowieckiej cenzury. /Porównując oba systemy można od razu powiedzieć, że słowa te napisał pisarz angielski, mowa była o współczesnej mu Anglii i prowadzonej przez nią zaborczej wojnie, a wszystko wprost i bez ogródek. Tym niemniej nikomu w Anglii nie przyszło nawet do głowy objąć książkę zakazem druku/.

Po pewnym czasie naczałstwo ostudziło jednak swój gniew i pozwoliło twórcom filmu na powtórne udziękowanie buntowniczego fragmentu w taki sposób, że teraz Sherlock Holmes mówi: "Widzę, że przyjechał pan z jednego ze wschodnich krajów". Wydawać by się mogło, że to czysto polityczna poprawka, która w żadnym razie nie może się odbić na artystycznym poziomie filmu. A jednak się odbiła. Bowiem Sherlock Holmes zdumiewa tym, że dokładnie określa skąd człowiek przyjechał.

Mówiąc o cenzurze mamy przede wszystkim na myśli specjalną instytucję - "Gławlit" - której zadaniem jest niedopuszczanie do rozgłaszania wojskowych i państwowych tajemnic w prasie, radiu i telewizji, a także w literaturze pięknej, kinie i teatrze. Cenzorzy "Gławlitu" posiadają długą, z roku na rok wydłużającą się listę jednostek wojskowych, punktów geograficznych, obiektów przemysłowych, naukowych odkryć i nazwisk objętych całkowitym, bądź częściowym /wymieniać je można jedynie za specjalnym zezwoleniem/ zapisem. Znajdują się na niej również nazwiska działaczy partii komunistycznej /od Trockiego do Chruszczowa/, nazwiska wielu pisarzy, dysydentów i uczonych zajmujących się pracami objętymi ácisłą tajemnicą. Na przykład nazwiska Sacharowa nie wolno było wymieniać w druku wówczas, gdy aktywnie pracował dla sowieckiej nauki i otrzymywał najwyższe sowieckie nagrody. Potem objęto je zapisem, ponieważ Sacharow został dysydem; dzisiaj wymienia się go dość często, ale tylko za aprobatą najwyższych instancji partyjnych. Lista nazwisk objętych zapisem osiągnęła tak katastroficzne rozmiary, że cenzorzy nie dają sobie rady ze swoją pracą, co zresztą zademonstrowali dopuściwszy do druku opowieść since-fiction Artura Clarka, w której sowieccy kosmonauci noaż nazwiska sowieckich dysydentów.

Trzeba jednak powiedzieć, że "Gławlit" jest tylko jedną z instytucji zajmujących się cenzurą i to na ostatnim etapie przygotowywania takiej czy innej publikacji, filmu, spektaklu. Pierwszym cenzorem utworu, znajdującego się jeszcze w fazie "produkcji" jest - jak wiadomo - sam autor. Następnie utwór trafia do recenzentów, potem zaś redaguje go kilka osób /młodszy redaktor, redaktor, starszy redaktor, redaktor naczelny/. Zadaniem tych osób jest doprowadzenie utworu do takiego stanu, aby odpowiadał określonym ideowym i artystycznym wymogom, choć owe wymogi przeważnie jawnie się ze sobą kłóca.

Oto przykładowy zakres obowiązków pierwszego redaktora rękopisu przyjętego do druku i włączonego do planu:

1. Uczynić rękopis bardziej czytelnym, jeżeli trzeba: poprawić fabułę, styl, język, poprawić gramatyczne błędy /wśród uznanych pisarzy sowieckich duży procent stanowią ludzie popełniający elementarne błędy językowe/, w niektórych przypadkach przepisać nawet całość rękopisu.

2. Sprawdzić, czy rękopis odpowiada podstawowym wymogom socjalistycznego realizmu, to znaczy, czy występuje bohater pozytywny, czy dobro /z komunistycznego punktu widzenia/ zwycięża zło, czy przyszłość zarysowuje się w barwach wystarczająco optymistycznych.

3. Nie dopuścić do krytyki, nawet drogą aluzji, istniejącego systemu. Cała rzeczywistość sowiecka winna być opisywana w jasnych barwach, zaś kapitalistyczna - na odwrót, w mrocznych.

Drugi wymóg jest przestrzegany bardzo surowo, bowiem prawie wszystkie notatki z podróży ludzi, którzy przebywali za granicą, jeżeli nie wspomina się w nich o bezrobociu, inflacji, przestępczości i innych wadach kapitalizmu, podlegają druzgocącej krytyce.

Oprócz tego redaktor dubluje cenzora i tak jak on ma obowiązek czujnie kontrolować, czy w książce nie wymienia się jakichkolwiek objętych zapisem informacji i nazwisk. Rzecz jasna, jeżeli nazwisko danego autora znajduje się na liście cenzorskiej, o publikacji jego książki o jakiegokolwiek treści nie może być mowy.

Redaktor jako pierwszy odpowiada za każdy błąd przeoczony w wydrukowanej książce. Najczęściej, jeżeli książka wywołuje niezadowolenie organów partyjnych, autora krytykuje się w druku, lub na jakichś /często zamkniętych/ zebraniach, zaś redaktora czeka coś o wiele gorszego: ostra nagana, a nawet zdjęcie ze stanowiska.

Najcięższym grzechem redaktora jest naturalnie każdy błąd polityczny, jak choćby: przedstawienie jakiegokolwiek postaci, lub zjawiska niemilego partii w pozytywnym świetle, aluzja do jakiegoś wydarzenia /jak w przypadku wspomnianej wojny w Afganistanie/, a nawet pochwała, lub niewystarczająca krytyka jakiegoś kierunku : sztuce.

Czasami politycznym staje się zwykły błąd gramatyczny. W czas wojny i po niej we wszystkich gazetach drukowano rozkazy Głównodowodzącego Stalina. Zdarzyło się kilka razy, że w słowie "głównodowodzący" wskutek niedopatrzienia pominięto literę "ł". Za Stalina takie błędy uznawano za sabotaż. Znam osobiście wypadek, że redaktor odpowiedzialny gazety obwodowej "Bolszewik Zaporozża" /na Ukrainie/ przeoczywszy taki błąd niezwłocznie się zastrzelił. Lidia Korniejewa Czukowska opowiadała mi o redaktorze gazety, który miał w czasie wojny koszarne sny. Sniło mu się, że w świeżym numerze jego gazety wydrukowano: I.W.Lenin i W.I.Stalin.

Strach przed błędami tego rodzaju powoduje, że w redakcjach dużych gazet wyodrębnia się specjalnego, dyżurnego współpracownika /nazywa się go "świeża głowa"/, który jeszcze raz, po wszystkich redaktorach i korektach, uważnie przeprowadza korektę całego numeru.

Kary w czasach stalinowskich były, jak już powiedziałem, szczególnie ostre, ale i teraz podobne błędy karane są surowo. Na przykład, bohater mojej książki "Iwankiada" Siergiej Iwańko będąc "świeżą głową" gazety "Literatura i życie" jeszcze w czasach przyjaźni Związku Sowieckiego z Chinami, został wyrzucony z pracy, gdy gazeta poinformowała czytelników, że "wysoki rozwój osiągnęła gospodarka USA i Chin" /zamiast "ZSSR i Chin"/.

W gazetach i książkach redaktorzy najbardziej obawiają się jednak podtekstu, to znaczy świadomego przemycanych przez autora aluzji, bądź asocjacji, których autor nie przewidział. Z tego powodu nawet obozy hitlerowskie objęte są niemal nieustannie zapisem /niektóre książki ukazały się za specjalnym zezwoleniem/, albowiem bezspornie przypominają czytelnikowi obozy rodzime. Z tego też względu częściowym zapisem objęty jest temat faszyzmu i hitleryzmu. W latach sześćdziesiątych druzgocącej krytyce partyjnej poddano film dokumentalny M.Romma "Zwyczajny faszyzm", ponieważ ukazana w nim sztuka Trzeciej Rzeszy zbytnio przypominała sowiecką.

Praca samych redaktorów zasługuje niewątpliwie na odrębne, szersze omówienie. Dodam jeszcze, że będąc zastraszonymi i pozbawionymi praw, szukają aluzji nawet tam, gdzie ich nie ma. Na przykład w swoim czasie zaatakowano reżysera Andreja Tarkowskiego za to, że w jego filmie "Andrej Rublow" chłopcy są zbyt ubogo odziani i... przypominają sowieckich kołchoźników.

Ustne i pisemne instrukcje nakazują redaktorom wyszukiwanie nie tylko "zwyuczajnych", ale również "niekontrolowanych" podtekstów. Ma-

to tego, mają oni obowiązek zwalczać możliwość zrodzenia się u czytelników myśli w żaden sposób nie związanych z tekstem, czy podtekstem. Na pytanie jak należy to rozumieć, jeden ze znanych reżyserów sowieckich odpowiedział: "Jeśli na przykład siedzi się w kinie, ogląda jakiś film krajoznawczy, powiedzmy, kaukaskie góry, szczyty pokryte śniegiem, obłoki i nachodzi człowieka myśl: "A mimo wszystko Breżniew to kanalia".

Oprócz zawodowych cenzorów i redaktorów funkcję tę sprawują przedstawiciele najrozmaitszych resortów, mających raczej z literaturą i sztuką niewiele wspólnego.

Zanim więc książka o geologach ujrzy światło dzienne /nawet jeśli jest to powieść/ wydawnictwo przeayła ją do resortu geologicznego, o żołnierzach strzegących granic - do KGB, o rewolucjonistach - do Instytutu marksizmu-leninizmu itd. Przy czym wszystkie te instytucje starają się nie tylko niedopuszczać do błędów merytorycznych, ale również czynią uwagi /często bardzo ordynarne i prymitywne/ na temat artystycznej wartości utworu, które autor musi przyjąć /lub udać, że to robi/.

Funkcje cenzorskie sprawują naturalnie również kierownicze organy Związku Pisarzy, organy partyjne /od rejonowych do KC KPZS/, rejonowe, miejskie, obwodowe wydziały kultury, ministerstwa kultury poszczególnych republik i ZSSR i wiele innych organizacji, a w niektórych przypadkach także "ludzie zasłużeni": przodownicy pracy, kosmonauci, generałowie /mnie redagowały wszystkie trzy kategorie/ i wielu, wielu innych.

Niemniej jednak naczelnym cenzorem w Związku Sowieckim jest strach.

Każdy pisarz sowiecki przystępując do pisania nowego utworu pamięta o tym, że zapłata za jego pracę może być nie tylko sława i honoraria, ale także objęcie zapisem fragmentu książki, objęcie zapisem całej książki, objęcie zapisem wszystkich jego książek, wydalenie ze Związku Pisarzy, a ostatecznie - więzienie.

WŁADIMIR WOJNOWICZ

tłumaczył Adam Jeż

/"Russkaja Mysl" nr 3524/

RAZEM CZY OSOBNO

czyli francuscy komuniści na rozdrożu

W latach 70-tych Francuska Partia Komunistyczna zdobywała regularnie ponad 20% głosów w wyborach. Jej pozycja zaczęła się chwiać, i to gwałtownie, pod koniec dziesięciolecia. Spośród wewnątrzfrancuskich przyczyn tego zjawiska na pierwszym miejscu wymienić trzeba duży wzrost popularności Partii Socjalistycznej: to na jej rzecz traciła wówczas głosy komuniści. Główny powód zewnętrzny to upowszechnienie świadomości "bilansu globalnie negatywnego" krajów realnego socjalizmu, na co szczególnie wpływ miały dwa wydarzenia: inwazja Afganistanu i powołanie Solidarności. W każdym razie w wyborach prezydenckich w kwietniu i maju 81 kandydat partii, Georgea Marchais, uzyskał tylko 15% głosów. Był to znak nagłego załamania notowań partii w opinii publicznej; za jednym zamachem utraciła ona ok. 1/4 swojego elektoratu. Tendencja ta potwierdziła się w czerwcowych wyborach do Zgromadzenia Narodowego. Co więcej, podbudowani niedawnym zwycięstwem socjaliści zdobyli absolutną większość mandatów w Zgromadzeniu i tym

samym mogli utworzyć rząd bez pomocy komunistów.

Jednakże Mitterrand zdecydował się włączyć do swojego gabinetu 4 ministrów z partii Georges Marchais. Korzyści dla komunistów były oczywiste: wzrost znaczenia politycznego mimo porażki, a nawet klęski wyborczej. Pozwoliło to partii mieć nadzieję, że występując jako siła rządząca, a więc współrealizująca program lewicowych przemian, potrafi propagandowo zatruszczać straty wyborcze i atopniowo odzyskać utracone zaufanie. Co zaś do socjalistów, to ci mieli wprawdzie pełną swobodę utworzenia jednolitego rządu, ale kierowali się swoistym komfortem sprawowania władzy. Otóż włączając komunistów do rządu zyskiwali omalże pewność utrzymania przez dłuższy czas pokoju socjalnego dzięki spowodowaniu prorządowego stanowiska największej centrali związkowej CGT kierowanej przez komunistów.

Koalicja była od początku tworem szczególnym, nie wolnym od wewnętrznych pęknięć - i to z kilku powodów, ale starano się tych pęknięć nie ujawniać na zewnątrz. Silniejszym partnerem byli oczywiście socjaliści i to oni decydowali o aktualnym kursie politycznym. W kwestiach społecznych, a także gospodarczych, socjaliści prowadzili w pierwszym roku sprawowania władzy politykę zdecydowanie lewicową, zgodną z ich przedwyborczym programem - tu komuniści byli w pełni zgodni. Natomiast - i to od samego początku - w dwóch dziedzinach partnerzy nie mogli dojść do porozumienia: w sprawach obrony i polityki zagranicznej. W tych pierwszych socjaliści byli już wtedy wyznawcami teorii zgoda nie pacyfistycznych - tak przecież drogich komunistom. Kontynuacja badań nad bronią atomowymi, prace nad bombą neutronową, skonstruowanie 7-mej podwodnej łodzi atomowej, utworzenie liczących 47 tys. ludzi Sił Szybkiego Reagowania - były tego wymownym dowodem. W polityce zagranicznej zwracali uwagę stanowcza rytyka łamania praw człowieka w krajach bloku wschodniego, poparcie dla eurokiet czy integracji europejskiej. We wszystkich tych dziedzinach komuniści mieli odrębne preferencje, ale milcząco akceptowali poczynania silniejszego partnera: "Solidarité gouvernementale oblige". Te niewątpliwe straty ideologiczne mogli sobie zrekompensować realizacją fragmentu własnych zamierzeń. W gospodarce to przede wszystkim nacjonalizacja części przemysłu i banków, a w polityce społecznej: piąty tydzień płatnego urlopu, 39-godzinny tydzień pracy, emerytura od 60 roku życia, podniesienie zasiłków dla bezrobotnych, a także najniższej płacy. Można dyskutować nad zasadnością tych poczynań i dzisiaj się to powszechnie robi. W każdym razie z punktu widzenia zarówno komunistycznej doktryny, jak i rachub na odzyskanie tradycyjnego elektoratu partii były te reformy niewątpliwie korzystne. Można je było przedstawić opinii jako błogosławiony skutek wejścia komunistów do rządu, zysk był więc niemały.

Tymczasem z upływem czasu staje się jasne, że polityka "państwa dobrobytu" nie przynosi - bo w dobie kryzysu przynosić nie może - pożądanych rezultatów gospodarczych. Za cenę stabilizacji bezrobocia, wzrostu płac i świadczeń socjalnych, zafundowano sobie ażereg zasadniczych trudności: wzrost deficytu budżetowego, deficytu handlu zagranicznego, zadłużenia wobec zagranicy oraz - a może przede wszystkim - zmniejszenie konkurencyjności przemysłu francuskiego. Ten ostatni moment domagał się pilnych decyzji. Po dwukrotnej dewaluacji franka, w czerwcu 82 zaczyna się polityka zaciskania pasa. To już wyraźnie nie podoba się komunistom i CGT, która postuluje dalszy wzrost płac i zasiłków oraz nie tylko utrzymanie zatrudnienia na istniejącym poziomie lecz nawet jego zwiększenie. Niestety rzeczywistość ekonomiczna nie pozwala na utrwalanie iluzji. Zwrot zapoczątkowany w połowie 82 roku okazuje się zmianą trwałą. Nowa polityka wymaga ludzi myślących raczej kategoriami ekonomicznymi niż społecznymi. W rządzie premiera Pierre'a Mauroy rośnie znaczenie Jacquesa Delorsa - ministra gospodarki i finansów, autora programu oszczędnościowego o-

raz Laurenta Fabiusa - ministra budżetu, a później przemysłu, rzecznika restrukturalizacji przemysłu właśnie. Siłą rzeczy maleje rola 4 ministrów komunistycznych; nie wydaje się, aby ich głos w jakimkolwiek stopniu korygował zamierzenia socjalistów. Nadchodzi marzec '83 i kolejny plan oszczędnościowy, komentatorzy rozważają możliwość odejścia partii komunistycznej z rządu. Ta w nim wprawdzie pozostaje, ale odąd termin zerwania koalicji staje się stałym tematem prasowych spekulacji. Kolejne bolesne dla FPK pociągnięcia rządu, jak zmniejszenie obciążeń finansowych przedsiębiorstw czy zaledwie minimalny wzrost płac, wystawiają tę pierwszą na trudną próbę cierpliwości. Wreszcie przychodzi moment najtrudniejszy: zwolnienia z pracy w następstwie unowocześniania przemysłu. Daje to od początku roku wzrost bezrobocia i wywołuje zniewierpliwienie CGT. Wiosną '84 następuje mocne uderzenie: rząd zepowiada zwolnienie 30 tys. hutników w Lotaryngii w ramach restrukturalizacji przemysłu ciężkiego tego regionu. Wywołuje to falę strajków, demonstracji a nawet walk z policją. Wprawdzie 4 ministrów komunistycznych zachowuje solidarność ze swoimi kolegami z rządu, ale już przywódcy partyjni dają głośno wyraz awemu niezadowoleni. Zresztą trudno się im dziwić mając na uwadze ich bazę społeczną, doktrynę i dotychczasowy mocno uproszczony a chwytliwy propagandowo program. Stąd pewne objawy złego humoru. Od tej pory odejście komunistów wydaje się już tylko kwestią czasu.

Czerwiec '84 - wybory do parlamentu europejskiego. Ich wyniki potwierdzają dotychczasowe tendencje opinii publicznej. Lewica w ogóle jest w nich stroną pokonaną, ale komuniści stają wobec widma politycznej marginalizacji: zdobywają zaledwie 11% głosów^{*)} i jest to najgorszy ich rezultat od 1928 r. Swoista rządowa przechowalnia nie przyniosła więc spodziewanych efektów, chociaż nie jest dowiedzione, że bez udziału w rządzie wynik tych wyborów byłby lepszy. Tak czy inaczej kierownictwo postanawia zmienić taktykę. Ze strony socjalistów padają tymczasem warunki nie do przyjęcia w nowej optyce partii. Desygnowany na nowego premiera Laurent Fabius proponuje wprawdzie FPK wejście do rządu, ale zamierza kontynuować a nawet pogłębić dotychczasowy kurs na ekonomizm, a nie socjalizm. W tej sytuacji komuniści odrzucają ofertę Partii Socjalistycznej.

W historii FPK kończy się w ten sposób krótki ale szczególnie ostry okres, czas bliskiej współpracy z partią burżuazyjną, jaką w oficjalnym języku komunistów nie przestaje być Partia Socjalistyczna. W sojuszu tym komuniści nie mogli odegrać istotniejszej roli ze względu na układ sił, w którym socjaliści dyktowali warunki.

Partia bierze nowy kurs w sytuacji regresu popularności. 11,2% głosów uzyskane w czerwcu zaledwie o kilka promili przekracza rezultat dotąd nieistotnego politycznie, skrajnie prawicowego Frontu Narodowego. W ciągu 5 lat, licząc od wyborów w 1979 r., FPK straciła połowę wyborców. Każde to ponuro myśleć o przyszłości, tym bardziej, że sondaże opinii nie zapowiadają w tej mierze niczego dobrego.

Jakkolwiek w lecie '84 notowania socjalistów i ich przywódców też spadają, nie wydaje się, aby odejście FPK od PS przysporzyło tej pierwszej sympatyków. W ciągu roku '84 odsetek Francuzów mających zaufanie do Georges'a Marchais spadł z 14 do 10. /Na marginesie należy wyjaśnić, że stopa zaufania jest z reguły wyższa niż odsetek ludzi gotowych głosować na daną partię czy osobę/. 54% Francuzów uważa, że partia komunistyczna weszła w fazę "nieuniknionego schyłku". 73% Francuzów ma złą opinię o tej partii, a tylko 16% - dobrą. Ciekawsze jeszcze od tej proporcji /również zawiązującej notowania wyborcze/ jest jej zestawienie z odpowiednią statystyką Frontu Narodowego. Otóż według tego samego sondażu dobrą opinię o FN ma 70% Francuzów, złą - 15%.

^{*)} Głośny sukces wyborczy Frontu Narodowego należy w dużej mierze przypisać głosom oddanym na jego listę przez byłych wyborców FPK.

Kłeska w wyborach czerwcowych jest dla partii szokiem na tyle dużym, że ujawnia jej wewnętrzne sprzeczności dotąd skrywane. Zaraz po wyborach z otwartą krytyką występuje członek Biura Politycznego i rzecznik prasowy - Pierre Juquin. Jak na stosunki panujące w FPK jest to rzecz niebywała. Juquin domaga się wewnętrznej demokracji i mniąd sekciarskiego stosunku do socjalistów. Zostaje on za to pozbawiony wszelkich funkcji w Biurze Politycznym, choć pozostaje nadal jego członkiem. We wrześniu zbiera się plenum KC mające ocenić sytuację po wyborach europejskich na podstawie referatu Marchais. KC akceptuje w głosowaniu ten referat, ale jeden z jego członków, Felix Demette, wstrzymuje się od głosu. W partii, gdzie obowiązuje zasada "centralizmu demokratycznego", ma to walor spektakularnego protestu. Z kolei na plenum październikowym, kiedy to omawiany jest dokument przygotowany na XXV zjazd, aż 6 członków KC wstrzymuje się od głosu, a ponadto lider kontestatorów Pierre Juquin wygłasza krytyczne przemówienie. W miarę zbliżenia się terminu zjazdu kontestacja wewnątrzpartyjna staje się czolowym przedzjazdem zagnadnieniem.

Tymczasem w jesieni i zimie staje na porządku dziennym kilka spraw domagających się od partii zajęcia stanowiska. Jeszcze w lecie FPK deklarowała, że nie będąc w rządzie pozostaje jednak w obozie lewicy. Ale już na początku września Georges Marchais stwierdza w wywiadzie dla TF 1: "Nie zasiadamy w rządzie i w konsekwencji nie posiadamy żadnej odpowiedzialności za kierowanie sprawami kraju". Jest to zapowiedź dystansowania się od mających nastąpić niepopularnych posunięć rządu. W jesieni komunistyczna frakcja parlamentarna kilkakrotnie wstrzymuje się od głosu w Zgromadzeniu Narodowym, by wreszcie 19.XII głosować po raz pierwszy przeciw projektowi rządowemu: chodzi o projekt budżetu na rok '85. Podobnie w sprawie przedłużenia stanu wyjątkowego na Nowej Kaledonii: komuniści i neogaullistowska RPR głosują przeciw rządowi, co zresztą - wzięwszy pod uwagę zupełne odmienne stanowiska tych partii na temat przyszłości wyspy - wydaje się konstatacją nieco dziwną. Wywołuje to gwałtowną reakcję PS. Socjaliści oskarżają niedawnych partnerów o sprzymierzanie się z prawicą w celu obalenia rządu. Na to odzywa się filar ideologiczny FPK, zausznik Kremla w Biurze Politycznym, Gaston Plissonier pisząc w l'Humanite-Dimanche, że socjaliści prowadzą politykę "na korzyść kapitału" i wspólnie z nim "sterują w stronę współpracy klas".

Przygotowania do zjazdu tym różnią się od poprzednich, że obecnie głos wewnątrzpartyjnej opozycji jest publicznie słyszalny. Jest to tym bardziej interesujące, że FPK wypracowała skuteczne - wydawałoby się - mechanizmy niedopuszczania oddolnej krytyki do wyższych instancji. A jednak ciśnienie to jest tak duże, że artykułuje się ono jeszcze na poziomie federacji. Wg l'Humanite 91,1% delegatów na konferencje federalne poparło projekt rezolucji zjazdowej, podczas gdy przed poprzednim zjazdem /82 r./ 98,4% delegatów było "za". Zmiana jest więc widoczna. Trzy federacje: Hautes-Alpes, Corse-du-Sud i Haute-Vienne /działała w niej Marcel Rigout, były minister, jeden z przywódców kontestacji/, odrzuciły w całości projekt. Kilka innych przyjęło go, ale z dużą ilością poprawek /np. Meurthe-et-Moselle z ok.40 poprawkami/. Na dodatek P.Juquin włącza się, a raczej kierownictwo pozwala mu się włączyć, do dyskusji przedzjazdowej na łamach l'Humanite. Pisze tam m.in.: "Niewątpliwie obecne kierownictwo umyślnie wykluczyło z projektu samokrytykę za lata 1977 /zerwanie unii lewicy - IB/ - 1984. W ten sposób próbowało ono uniknąć tego, by członkowie partii poatawili przed zjazdem właśnie kwestię kierownictwa /.../ Jakie są rzeczywiste powody spóźnienia, jakiemu partia wzięła podczas z górą 20 ośmiatnich lat? Jak i dlaczego kierownictwo popełniło błąd? Kto rozstrzyga o tym, że ma ono rację dzisiaj?" Czegoś takiego jeszcze w kampanii przedzjazdowej nie było! Kierownictwo podejmuje zatem stanowcze środki zaradcze. Tuż przed zakończeniem serii konferencji federalnych, 31.I, zbiera się Biuro Polityczne i postana-

wia, że:

- Zwróci się do przywódców federacji Hauts-de-Seine, by nie dopuścili do wybrania, przez mającą się właśnie zebrać konferencję federalną, na delegatów na zjazd dwóch członków obecnego KC czynnych w ruchu partyjnej kontestacji.

- Ostatnie plenum starego KC, mające ustalić listę kandydatów do nowego Komitetu, zbierze się nie jak dotychczas bywało przed zjazdem, lecz pod koniec jego trwania. Jest to sprzeczne ze statutem, który mówi, że z chwilą otwarcia zjazdu KC przestaje istnieć. Łatwo zauważyć, że ta chronologia musi wpłynąć na miarkowanie wystąpień delegatów, ciężać bowiem będzie nad nimi świadomość, że krytyka na zjeździe nie popłaca.

- Przywódcy federalni wybrani przez obecną konferencję federalną będą musieli być zatwierdzeni na swoich stanowiskach przez przyszły KC. Skutek podobny jak powyżej.

Z takim багаżem i tak zabezpieczony szef partii Georgea Marchais otwiera, 6.II, zjazd. Już jego wstępny referat pokazuje, że linia kierownictwa jest mocno dogmatyczna. Marchais potwierdza hasło sprzed zjazdu: "Nowe ludowe zjednoczenia większościowe", mające tłumaczyć, że to wokół FPK skupi się owa większość, co jest jednak empirycznie niemożliwe z powodu braku większości. Mimo tego tonu udaje się partyjnym odnowicielom zabrać głos z trybuny, co samo w sobie jest już sporym wydarzeniem. Natomiast aens ich wypowiedzi jest - powtarzam: jak na FPK - doprawdy rewolucyjny. Oto słowa P. Juquin: "Konieczne jest wyartykułowanie różnorodności /w partii - IB/, źródła bogactwa i skuteczności /.../ Partia komunistyczna, która występuje z pozycji walki klasowej traci dużo ze swej skuteczności, musi postawić sobie pytanie o jej stosunek do społeczeństwa i pytanie o jej wewnętrzne funkcjonowanie /.../ Trzeba powiedzieć całą prawdę o krajach socjalistycznych /.../ W latach 1956, 1961, 1968 szereg pytań postawiły przed nami autentyczne siły społeczne. Ileż żywotności zgubiłszy gubiąc tych, którzy postawili te pytania". Rewelacją jest również wynik głosowania nad deklaracją końcową. Otóż na 1717 delegatów 65 wstrzymuje się, a jeden głosuje przeciw. Rzecz jasna nurt dogmatyczny od początku kontratakuje. Osobiście i pryncypialnie skrytykował odnowicieli Charles Fiterman, były minister, człokowa osobistość partii. Georgesowi Marchais i jego towarzyszom udało się, głównie dzięki omówionym wyżej środkom nacisku, doprowadzić do częściowej czystki w aparacie. Pierre Juquin traci miejsce w Biurze Politycznym, pozostaje jednak w KC wraz z kilkoma politycznymi przyjacielami. Jest to także, jak się wydaje, dużej miary wydarzenie. Awansują twardogłowi. Pierre Blotin wchodzi do Biura Politycznego, Jean-Claude Gaysot zostaje sekretarzem KC odpowiedzialnym za organizację partii, Charles Fiterman odzyskuje swoją dawną pozycję szefa propagandy, Roland Leroy - dyrektor l'Humanité - zostaje także dyrektorem l'Humanité-Dimanche. W sumie więc udało się atarej ekipie opanować sytuację w partii, częściowo jednak dzięki stosowaniu nadzwyczajnych metod. Jedną z nich był sposób dokonania podziału funkcji w ramach KC, Sekretariatu i Biura Politycznego już po zjeździe. Normalnie propozycje wysuwa Biuro, zatwierdza KC, tym razem całą sprawę załatwiło Biuro.

Przyjęty na zjeździe program potwierdza zwrot czy raczej powrót na lewo w polityce wewnętrznej. Mówiąc o centralizmie demokratycznym G. Marchais ostrzegł: "Jeśli /partia - IB/ zaakceptowałaby prawo do istnienia frakcji, z socjaldemokratyzowałaby się". A wspominając o krajach komunistycznych - "W walce klas, która pozostaje światową, Partia Komunistyczna wybrała swój obóz".

Za kilka dni odbędą się wybory kantonalne, za rok wybory parlamentarne. Te dwie daty, choć każda na inną miarę, wyznaczają czas próby dla liczących się partnerów politycznych, do jakich wciąż jeszcze na-

leży partia komunistyczna. Wybory kantonalne, czyli do samorządu na szczeblu departamentu, nie zadecydują o zmianie rządu, ale będą stanowić ważny test przed przyszłoroczną walną rozgrywką. Nie jest łatwo przewidzieć postawę komunistów. Ich dotychczasowa ewolucja od lipca '84 wskazywała na pokusę izolacjonistyczną. Dawałaby ona pełny komfort dalszej krytyki socjalistów z pozycji demagogicznych, które, jak się zdaje, FPK chce teraz wykorzystać dla odzyskania poparcia jej tradycyjnego elektoratu. Z drugiej zaś strony w większościowych wyborach sojusz z socjalistami wpłynąłby korzystnie na ilość uzyskanych mandatów w Radach Generalnych"). Co więcej w niektórych departamentach pozwoliliby to nawet uzyskać większość w Radzie i objąć jej przewodnictwo.

W ciągu roku, jaki pozostał do wyborów parlamentarnych, wiele może się jeszcze zmienić. Prawdopodobnie nie dojdzie jednak do takich zmian w opinii publicznej, które dałyby lewicy możliwość uzyskania większości. Nie trzeba dodawać, że sama FPK nie ma na to żadnych szans, ani nie będzie ich miała za rok. Ponieważ więc dla komunistów gra będzie się toczyć jedynie o większą lub mniejszą ilość mandatów, ale - prawdopodobnie - bez żadnego wpływu na utworzenie rządu, to wybiorą oni chyba "splendid isolation" stwarzającą możliwość działań długofalowych. Zresztą niedawna przeszłość pokazała, że francuscy towarzysze znacznie lepiej czują się w aystematycznej opozycji niż w rządzie, na którego politykę nie mają wpływu. I nic dziwnego.

IGNACY BĘBEN

*) Kolegialne organy samorządowe w departamencie.

TUMANY I FETYSZE

AKCJA - STRAJK

Konrad Struga: Nie czuję się na tyle kompetentny, by odnieść się do decyzji o ogłoszeniu strajku i później - odwołującej strajk. Stąd moja propozycja, byśmy o tym działaniu związkowym porozmawiali w trójkę. Zaczniemy od genezy. Jak w HiL przyjęto decyzję TKK i Lecha Wałęsy ogłaszającą strajk? Czy oceniono ją jako słuszną i na czasie?

Robert Bednarz: W Hucie uznano, że decyzja, owszem, była bardzo na czasie. Ja się oczywiście z nią zgadzałem, z tym, że przecież sam strajku nie zrobię. Zresztą nie było go. Huta jako całość ma dziwną specyfikę. Są takie wydziały produkcyjne gdzie ludzie byli za strajkiem, ale w praktyce przeprowadzenie na nich strajku jest bardzo trudne. Trudne między innymi i z tego powodu, że kierownictwo nauczyło się przed strajkiem bronić. Na czas strajku stanowiska, o których wiedzieli, że są tam niepełni ludzie, poobsadzali czerwonymi.

K.S.: Czy zmiany na stanowiskach pracy miały być na stałe?

R.B.: Nie, tylko na czas strajku nastąpiła taka mobilizacja sił.

K.S.: Znaczy, że dykcja Huty bardzo poważnie potraktowała planowany strajk!

R.B.: Bardzo poważnie. Znamienne jest i to, że przed dwunastą w dniu, kiedy miał być strajk, byli esbecy. Pojechali o wpół do pierwszej.

K.S.: Napisać spokojny raport. Ale konkretnie, czy w momencie o-

głoszenia przez TKK strajku był wśród ludzi nastroj do zorganizowania go? Czy była akceptacja decyzji?

Marian Krawczyk: Może o ludziach później, bo najpierw decyzja dotarła do działaczy. Podejrzewam, że był moment wahnięcia: czy to ma sens.

R.B.: Działacze, z którymi współpracuję, byli i są za strajkiem, tylko cały czas istnieje obawa - czy to wyjdzie. Ciężko jest zrobić coś w Hucie przy ciągłym toku produkcyjnym, jeśli nie ma takich dramatycznych dni jak np. Sierpień.

K.S.: Jednym słowem: niewiara samych działaczy...

R.B.: ... bo znamy realia codzienne.

K.S.: Czyli TKK ogłaszając strajk dowiodła, że nie zna realiów.

R.B.: Nie znam innych zakładów. Gdzie indziej może jest prościej, bo nie ma ciągłych procesów technologicznych. Mogą zrobić przerwę o obojętnej godzinie. U nas w ogóle nie ma przerwy jako takiej. Mimo to wszystko było do strajku przygotowane.

M.K.: Rodzi się pytanie, czy podjęcie decyzji o strajku było wynikiem przemyśleń politycznych. Wiadomo, że niesłuchanie trudne jest poderwanie ludzi. Wiadomo też, że jeśli się nie upominamy, to władza traktuje nas jak stado baranów, z którymi robi co chce. Po ogłoszeniu odwołania strajku wiemy, że się go boją. Każdy strajk jest nieobliczalny i może się coś ruszyć. Łatwiej zdusić go przed a nie po zaistnieniu. Masy, która drgnęła, nie sposób upilnować.

K.S.: Gdyby TKK i Wałęsa nie odwołali strajku - w jakim wymiarze by wyszedł?

R.B.: Na niektórych wydziałach byłyby udany.

M.K.: Atmosfera mogła się nasilić.

R.B.: Tyle roboty poszło na nic. Rano przed atrajkiem dowiedziałem się od ludzi, że odwołano. Nie chciałem uwierzyć! Szybciutko załapałem Wolną Europę. Faktycznie... odwołany.

K.S.: Jak przyjęto odwołanie strajku?

R.B.: Różnie... w chwili odwołania ludzie jeszcze nie wiedzieli co zrobili z cenami.

M.K.: Pamiętajmy, że decyzja odwołania strajku zrodziła się dopiero cofnięciu przez rząd jednorazowych podwyżek.

R.B.: Oburzenie ludzi było ataszne. Wszyscy żalowali, że nie było strajku.

K.S.: Oburzenie - na kogo?

R.B.: Na posunięcie rządu.

M.K.: Na takie cygaństwo.

K.S.: Takie cygaństwo - jak powiedziales - władze związkowe mogły z góry przewidzieć.

R.B.: Kto przewidzi, to przewidzi, ale ludzie wierzą w uczciwość. Niemniej faktem jest, że wśród działaczy tego podstawowego szczebla były pretensje o odwołanie strajku.

M.K.: Znaczyliby to, że nie mają potrzeby tego rodzaju gry politycznej. W moim odczuciu cała "akcja" strajkowa - to posunięcie polityczne. Próba wywarcia nacisku na rządzących. Wyobraźmy sobie, że jest szachownica polityczna. Jedna "paka", czyli rząd, zagrała podwyżki. Myśmy odpowiedzieli strajkiem. Na to odpowiedziano ruchem

cofnięcia, a w każdym bądź razie rozłożeniem podwyżki w czasie. Mamy więc czas na przygotowanie następnego posunięcia związkowego. Jest czas na zastanowienie się. Czaa jakiaś tam normalności organizacyjnej, a nie tylko szukania oparcia w nastroju. Przygotowanie strajku na dzień 28 lutego budowało ten nastrój. Był to rodzaj treningu. Mam wrażenie, że ciągle odwołujemy się do nastrojów a nie akalkulowanych posunięć.

K.S.: Jeśli TKK podejmowała decyzję o strajku, nie miała prawa bazować jedynie na nastrojach. Ma obowiązek bazowania na znajomości struktur zakładowych, na wcześniejszym przemyśleniu decyzji. Teraz było tak - podjęli decyzję, a już w dwa tygodnie później chcieli ją odwołać, bo się przestraszyli. Zmienił się im nastrój.

M.K.: To nie była decyzja nastrojowa. Ona była chęcią zagrania w te szachy polityczne, o których mówiłem wcześniej. Powstaje tylko pytanie, na ile działacze szczebla podstawowego otrzymujący takie decyzje mają poczucie konieczności takiej gry politycznej. A na ile są rozżaleni. Włożyli tyle wysiłku w zorganizowanie strajku, nakręcili ludzi - to może nie chcą z tego rezygnować. Na ile oni chcą dostrzec tę perspektywę krajową, tę grę z rządem. Odwołanie strajku było decyzją ogólnokrajową. Czy działacze szczebla podstawowego rozumieją to? Czy też są rozżaleni, bo włą grę lokalną? Czy to się w ogóle da przewidzieć?

R.B.: Myślę, że w ogóle się da. Na pewno rozumieją sprawy ogólnokrajowe, ale są bliżej lokalnych.

K.S.: Ani jeden, ani drugi z panów do tej pory nie ocenił w zasadzie pociągnięć TKK i Wałęsy. Marian jako, powiedzmy, polityk związku daje ogólnie "wytyczna", Robert - działacz szczebla podstawowego jakby się waha przed nazwaniem rzeczy po imieniu.

R.B.: Zawsze przy przypadku takich przedsięwzięć mam obawy, że może mi nie wyjść w skali wydziału, czy Huty. Ale całym sercem i duszą byłem za strajkiem. I cały czas liczyłem się z tym, że muszą być ofiary. Jeśli chodzi o moją akromną osobę, to jestem za znacznie radykalniejszymi środkami działania. Uważam, że strajk był potrzebny. Spraw się uzbierało aż nadto. Ogłoszenie a potem odwołanie strajku było decyzją polityczną ... uważam, że było o co walczyć. Nie było jednak determinacji na miarę Sierpnia. Nie było tego, że stajemy baz względu na ofiary. Nie było czegoś dość mocnego. I nawet te 15 minut pociągało rozmowy: czy warto by za to ktoś wylatywał z pracy? Takich chłopco-robotników na przykład ciężko ruszyć.

K.S.: Stale jesteśmy na etapie, że ogłoszenie strajku było dobre, a odwołanie go... I tutaj brak jasnej odpowiedzi.

M.K.: Ostatecznie strajk był o podwyżki. Podwyżki odwołano. Znika przyczyna, trzeba więc było odpowiedzieć. Przecież to nie pierwszy przypadek gdy odwołano strajk.

K.S.: Jednym słowem Związek potraktował władzę jak partnera dialogu. To samo robili Rocaewelt i Churchill w Jałcie, kiedy traktowali Stalina jak kolegę z klubu polityków. Skutki tego dżentelmeńskiego wyczynu odczuwamy od lat czwartdziestu. Czy tę władzę w ogóle można traktować jak partnera?

R.B.: To są sytuacje podobne. Partnera, nigdy... nie

M.K.: To jest pewna demagogia. Poprawność myślenia politycznego TKK jest taka: może tym razem władza będzie partnerem.

K.S.: A my, społeczeństwo, zafundujemy jej kolejne: pomożemy!

M.K.: Doświadczenie uczy, że komuniści, kiedy czują się słabi, do pewnego momentu grają fair. Nigdy jednak tak na sto procent nie wie-

my, kiedy czują się słabi a kiedy blefują...

K.S.: Nie jest blefem to, że teraz kupujesz w sklepie kilogram cukru za 75 zł i to w chwilę po cofnięciu jednorazowych podwyżek. Komuniści w tej grze politycznej, jak to Marian nazywa, pograli z wszystkimi. Pograli z TKK, pograli ze swoimi związkami, pograli z całym społeczeństwem, z którym konsultowali trzy warianty podwyżek cen - a ogłosili czwarty czy setny. Natomiast TKK i Wałęsa specjalnie sobie nie pograli politycznie, bo nawet odwołać strajku nia potrafili kanałami związkowymi. Czyniła to Wolna Europa.

M.K.: Bywało jednak i tak, że po kilku dniach odwoływano podwyżki, np. Jaroszewicz w 1976. Było i tak, że po kilku miesiącach; Gierek po strajku włóknieniarak łódzkich w 1971 odwoływał podwyżki Gomułki z grudnia 1970. Stąd wydaje mi się, że obecne nawoływanie Wałęsy do dalszych akcji protestacyjnych bierze się z takich doświadczeń historycznych. Mamy przecież Związek, który jeszcze niewiele umie z dziedziny walki o sprawę związkowe. Nie zapominajmy, że na Zachodzie uczono się tej trudnej sztuki dobre 100 lat. Niemniej uważam, że ogłoszenie strajku tak na chłodno jest dowodem poczucia pewnej siły organizacyjnej.

K.S.: Jeśli Związek nie będzie nic robił, to samo poczucie siły niewiele mu da.

M.K.: Tak. Rozłoży się od środka. Jeżeli ta siła nie pójdzie w górę, to rozłoży się od wewnątrz, albo i z zewnątrz, bo pojedynczych ludzi działających służby bezpieczeństwa "wybiorą". Nie walcząc, nie organizując się, ci najlepsi stracą zaplecze, w którym są anonimowi dla esbecji. Jeśli zaś będą działali teoretycznie bądź pozornie, to sami ludzie ich "wytną". W ich miejsce wejdą inni z KPN, czy "Niepodległości". Brak widocznych dowodów działania rodzi poszukiwanie czegoś innego: kadrowek, partii. Ludzie przestają sobie cenić to co mają, czyli Związek.

K.S.: Wina leży niestety także i po stronie prasy podziemnej. Pisząc o "Solidarności" generalnie rozlicza się ją za popełnione błędy albo podnosi do najwyższej rangi jej martyrologię. Nie wspomina się zaś np. o tym, że z programu uchwalonego na Zjeździe nikt nikogo nie zwolnił.

M.K.: Traktuje się go jako program dla działaczy, a nie dla mas. Hasło KPN - marsz na Kijów - jest dużo nośniejsza. Wydaje mi się jednak, że Związek czasami przypomina sobie, że za'ssze mimo wszystko walczy o przyszłowiową kiełbasę i tych kilka złotych.

K.S.: W imię owego dialogu, który Związek podjął z władzą, teraz Lech Wałęsa wzywa do bliżej nieokreślonego protestu. Co to znaczy?

R.B.: ...

M.K.: Nie wiadomo. Odwołanie Lecha jest tak w Polskę, a nie przez struktury Związku.

R.B.: Ja nie wiem co ten Wałęsa powiedział.

M.K.: Rzuca więc: bierzcie się i spręćcie. Robert będzie musiał spotkać się z kilkoma ludźmi i coś postanowić.

K.S.: Jaki jest twój stosunek, Robert, co przywódcy Związku?

R.B.: No... dobry... powinna być decyzja z góry.

M.K.: Czy w Hucie jest ktoś wśród działaczy, kto pluje na Lecha Wałęsę?

R.B.: Nie, raczej nie. A jeśli tak, to wynika to raczej z nieświadomości. Nie wszyscy są odporni na manipulację jaką nam serwuje radio

i prasa.

K.S.: Wróćmy jeszcze do "akcji" strajkowej, bo to wszak było celem naszej rozmowy. Klęska, czy zwycięstwo?

M.K.: Pomyślane to było tak: ma to być początek kontrofensywy.

K.S.: Wałęsa zapowiedział przejście Związku do ofensywy.

R.B.: Powiedział, że wreszcie dość tego cofania się i cofania.

K.S.: Czy w ostatecznym rozrachunku "akcja strajk" z punktu widzenia Huty, jest to krok w zapowiedzianym marszu ofensywnym?

R.B.: Uważam, że w ofensywie.

K.S.: Ale co Związek zyskał?

M.K.: Przypominam ci, że 95% strajków przed wojną było przegranych. Co wygramyśmy? Robert nagonił się, narobił... Sprawdził sobie, że ludzie mu ufają. To czysty zysk. Dla mnie zysk był tego rodzaju, że od połowy lutego ludzie przychodzili i pytali: co robimy? Przychodziło bardzo wielu. Było to dla mnie sprawdzenie się jako, powiedzmy, naturalnego lidera. Jest to przecież jakaś wykładnia.

R.B.: Było to sprawdzenie swojego miejsca. Dzień był taki krótki, zimowy... ciemności, a teraz jakby ożywiło się, choć zimno.

M.K.: Czy wyczuła w Hucie w czasie tych wzmocnionych kontaktów jakież podziały?

R.B.: Nie... nigdy nie widziałem Huty, jako takiej, rozbitej. To mity. Nie mówię o robocie, ale o poczuciu więzi...

M.K.: ... czyli jakaś jedność związkowa.

R.B.: Ja mówiłem o TKRH. Nie ma tam mowy o rozbiciu. Każdy robi swoje.

K.S.: Chciałbym na koniec usłyszeć jakąś sumaryczną ocenę znaczenia "akcji strajk".

M.K.: Weryfikująca możliwości Związku.

R.B.: Spójrzmy na akcję jak spojrział na nią czerwony. Wiedzieli, że strajk jest odwołany, a jednak stali i pilnowali, żeby nikt nie odszedł. Niadowierzali...

K.S.: Czy znaczy to, że w ich przekonaniu "Solidarność" jest groźną siłą?

R.B.: Oczywiście, tak to rozumiem.

K.S.: Cieszę się, że tak optymistycznym akcentem możemy skończyć tę niezbyt wesołą rozmowę.

Cena 220 zł

5

REZ DEKRETI

1985